

**PATRICIA MARVELL**

# **ORCHLDEE TEŻ SIĘ ŚMIEJĄ**

**Przełożyła Karolina Jaźwińska**

Tytuł oryginału SMILING ORCHIDS

# 1

- Zaczekaj chwilę - poprosiła Sandra, zatrzymując się na Trzynastej Ulicy przed wystawą kwiaciarni Orchidea.

Ona i Roseanne całe sobotnie popołudnie spędziły w sklepach i butikach w centrum miasta. O ile dla Roseanne były to godziny niezwykle owocne - świadczyły o tym pełne torby, które teraz niosła - to Sandra ograniczyła się do oglądania wystaw i doradzania swojej towarzyszce. Zaledwie jedna rzecz spodobała jej się na tyle, że po namowach przyjaciółki zgodziła się ją przymierzyć. Roseanne jednak nie udało się przekonać Sandry do zakupu.

Olbrzymi bukiet róż umieszczony w centralnym miejscu wystawy przypomniał jej o tym.

-Zobaczysz, będziesz żałowała, że nie kupiłaś tej sukienki - powiedziała.

Sandra tylko wzruszyła ramionami.

- Miała taki sam kolor jak te róże, prawda? - Roseanne z podziwem wpatrywała się w rozwinięte kwiaty o kremoworóżowej barwie, które wyglądały tak, jakby zostały posypane delikatnym pudrem.

- Chyba trochę podobny - odparła Sandra, nie przejawiając zainteresowania obiektem zachwytu przyjaciółki.

- Nie trochę podobny, tylko identyczny. I świetnie ci w tym kolorze.

- Ta kiecka kosztuje prawie trzysta dolarów!

- Rzeczywiście nie jest najtańsza - przyznała Roseanne, ale po chwili dodała: - Tylko że na własny bal maturalny idzie się raz w życiu. I tak będziesz musiała sobie coś kupić.

-Nie sądzę - odparła jej przyjaciółka smutnym głosem.

- Żartujesz! - Roseanne przyjrzała jej się uważnie. - Dopuszczasz w ogóle taką możliwość, że nie pójdziesz na bal? To mi chcesz powiedzieć?

Sandra nic nie odpowiedziała, ale coś w jej spojrzeniu wskazywało na to, że owszem, dopuszcza taką możliwość.

- No nie! - prychnęła Roseanne. - I to wszystko przez tego idiotę Christophera.

Jeszcze trzy miesiące temu myśl o tym, że mogłaby zrezygnować z balu maturalnego, wydawałaby się Sandrze zupełnie nieprawdopodobna. Ale wtedy miała chłopaka, z którym spotykała się od roku, i było oczywiste, że zjawią się na balu jako para.

I oto pewnego dnia Heather Sandler - niby mimochodem - wspomniała, że „chyba” widziała na mieście Christophera z Jackie Donovan.

Jackie w zeszłym roku chodziła do ich szkoły, Liceum Lincolna. Przeniosła się tu z

innej, w której, jak twierdziła, nie była doceniana przez „tych idiotów nauczycieli”. Teraz, w prywatnej szkole, do której przenieśli ją rodzice, pewnie tak samo nazywała nauczycieli z Lincolna. Nikt specjalnie nie żałował jej odejścia, może poza kilkoma chłopakami, którym wpadła w oko. Cokolwiek bowiem mówiło się o Jackie, trudno było zaprzeczyć, że jest niezwykle efektowną dziewczyną.

Znając Heather Sandler i jej upodobanie do roznoszenia zazwyczaj wyssanych z palca plotek, Sandra niespecjalnie przejęła się jej słowami. Zaniepokoiła się, kiedy zauważyła, że niektóre koleżanki milkną, gdy ona się zbliża, ale nie powiązała ich dziwnego zachowania z tym, co usłyszała od Heather. Prawda spadła na nią niczym grom z jasnego nieba. Chociaż właściwie, jeszcze zanim Roseanne powiedziała jej, że widziała w kinie Christophera i Jackie, czule się obejmujących, powinna była się domyślić, że coś jest nie w porządku.

Bolesnie zniosła rozstanie ze swoim chłopakiem i dziś, po trzech miesiącach, nie potrafiła sobie odpowiedzieć, co zabolalo ją bardziej - to, że spotykał się z inną dziewczyną, czy fakt, że nie miał odwagi jej o tym powiedzieć. Jakakolwiek byłaby zresztą odpowiedź, jedno pozostawało pewne - bal maturalny zbliżał się nieubłaganie, a ona nie miała partnera.

- Wiesz co? - wyrwała ją z zamyślenia Roseanne. - Moim zdaniem, powinnaś pójść choćby tylko z jego powodu.

Sandra oderwała wzrok od wystawy kwiaciarni i spojrzała na przyjaciółkę.

- Właśnie! - zawołała Roseanne, próbując włożyć w to słowo całą swoją siłę przekonywania. - Niech sobie nie myśli, głupek jeden, że cię zranił.

- Ale tak właśnie jest - przyznała się Sandra cicho.

- On mnie zranił.

- Wciąż cię to boli?

- Może nie tak bardzo jak na początku, ale za każdym razem, kiedy pomyślę, jaką byłam naiwną idiotką, czuję...

- Głos jej się załamał. - No... czuję właśnie to co teraz.

- Szybko otarła dwie łzy spływające po policzkach i kilka razy mocno zacisnęła powieki, żeby powstrzymać następne.

Roseanne zrobiła taki ruch, jakby chciała ją przytulić, ale Sandra się cofnęła.

- W porządku - rzuciła. - Nie mam zamiaru się nad sobą rozczulać.

- Taką cię lubię - powiedziała Roseanne. - Ale wiesz co? Lubiałabym cię jeszcze bardziej, gdybym miała pewność, że pójdziesz na bal. A nie będę jej miała, dopóki nie kupisz sobie kiecki.

Sandra machnęła ręką i znów powędrowała wzrokiem do kwiatów.

- Zrobiłam rozpoznanie - ciągnęła Roseanne. - Poza tobą wszystkie dziewczyny mają już kreacje na bal.

Jej przyjaciółka patrzyła na niewielką roślinę w prawym dolnym rogu wystawy i wydawało się, że poza nią nic jej nie interesuje.

- Czy ty mnie w ogóle słuchasz? - spytała Roseanne.

- Piękne - szepnęła Sandra.

- Piękne to są te róże - powiedziała Roseanne rzeczowym tonem. - A ściśle mówiąc, ich odcień. Bo jest taki sam jak kolor tej kiecki, którą powinnaś sobie kupić.

- Odczekała chwilę i dodała: - Póki jeszcze jest.

Przed wystawą kwiaciarni dłuższy czas panowała cisza. Nie mogąc jej znieść, niespokojna z natury Roseanne zaczęła mówić tak, jakby rozmawiała sama ze sobą:

-Dwieście dziewięćdziesiąt dolarów... No tak... Pewnie, że to jest niemała suma... Ale zaraz... Czy ktoś przypadkiem nie przekonywał mnie jakieś pół roku temu, że nie jest przesadą wydawanie trzystu dolarów na buty, które można włożyć tylko na wyjątkowe okazje? Powiem ci teraz szczerze, że, według mnie, płacenie trzystu dolarów za jakiegokolwiek buty, jest... bo ja wiem... Nierozsądne?

Zerknęła na Sandrę, ale ta, odwrócona do niej plecami, w żaden sposób nie dawała po sobie poznać, że cokolwiek słyszy.

-Nierozsądne... - rzuciła Roseanne, uśmiechając się sardonicznie. - To była czysta głupota. Idiotyzm! Kretynizm!

Przerwała, uznając, że posunęła się trochę za daleko. Jej przyjaciółka była wrażliwą dziewczyną, zwłaszcza teraz, kiedy po nieszczęsnym rozstaniu z Christopherem przechodziła trudny okres.

Sandra jednak najwyraźniej jej nie słuchała.

Roseanne westchnęła i cierpliwie czekała, aż przyjaciółka powróci do rzeczywistości, tamta jednak wciąż wbijała wzrok w to samo miejsce na wystawie. Roseanne, ciekawa, co przykuło uwagę przyjaciółki tak, że zapomniała o bożym świecie, popatrzyła w tę stronę i zobaczyła roślinę o przedziwnych kwiatach. Ich mięsiste płatki, żółtawe z ciemnoróżowymi i fioletowymi cętkami, były pokryte drobnymi włoskami i zakończone długimi, przypominającymi szpikulce wypustkami, nadającymi roślinie złowieszczy wygląd, którego nie mogły złagodzić nawet bladnoróżowe delikatne płatki wewnątrz kwiatu.

- To orchidee, prawda? - spytała.

- *Dracula bella* - powiedziała Sandra, bardziej do siebie niż do niej.

- Drakula? Tak jak ten wampir? Hm... Rzeczywiście jest w nich coś krwiożerczego.

Ale muszę przyznać, że są ładne.

- Ładne? Są piękne. - Sandra uśmiechnęła się smutno. - Mnie nie udało się ich wyhodować.

*Dracula bella, Dracula vampira, Ansellia africana, Calanthe flava, Encyclia vespa...*

Nie wiadomo, ile w tym prawdy, ale to były podobno pierwsze słowa Sandry. Jak opowiadano w rodzinie, nauczyła się je wymawiać, jeszcze zanim powiedziała „mama” i „tata”.

Dziadek Sandry z pasją uprawiał orchidee, a ona spędzała każdą wolną chwilę w jego egzotycznym kwiatowym królestwie. Kiedy umarł przed dwoma laty, rodzice dziewczyny chcieli zlikwidować cieplarnię. Wtedy powiedziała głośno: NIE. Tak głośno, że jej posłuchali.

Posłuchali, ale oczywiście postawili warunki.

Po pierwsze, nie może ucierpieć na tym szkoła. Nie ucierpiała.

Po drugie, skąd Sandra weźmie pieniądze? I z tym był pewien problem. Uprawa orchidei nie jest najtańszym hobby. Dziadek przeznaczał na nią większą część swojej emerytury, a Sandra, niestety, nie była emerytką, tylko uczennicą.

Namiastki tego, jakie czekają ją koszty, doświadczyła już tydzień po jego śmierci, kiedy musiała zapłacić za orchidee zamówione w Gwatemali, jeszcze przez dziadka. Z bólem rozstała się ze znaczną częścią pieniędzy zaoszczędzonych przez lata z kieszonkowego.

Ale to był dopiero początek. Nie na żarty przeraziła się wtedy, gdy ojciec pokazał jej rachunek za prąd. Figurowały na nim dwie sumy, jedna za energię zużywaną w domu, druga - za tę w cieplarni. I ta druga była trzy razy wyższa. To podobno dziadek, nie chcąc obciążać syna i jego rodziny kosztami swojego hobby, zażyczył sobie właśnie takich rozliczeń.

Po miesiącu Sandra, której nie pozostało już nic z oszczędności, stanęła w najbardziej ogrzewanej części cieplarni i wdychając wilgotne, przesycone tropikalnym zapachem powietrze, ze smutkiem przyglądała się swoim roślinom, tym o eleganckich wielkich kwiatach i tym drobniejszym, niepozornym, ale przez to wcale nie mniej pięknym.

I nagle zaświtał jej pewien pomysł. Dziadek nigdy nie sprzedał ani jednej orchidei ze swojej cieplarni. Zdarzało się, że zachwyceni kwiatami znajomi mówili, że mógłby na nich świetnie zarabiać. Odpowiadał im, że orchidee są zbyt piękne, żeby mogły być przedmiotem handlu, i hojnie ich obdarowywał kwiatami.

Sandra podzielała wtedy jego zdanie, teraz jednak pomyślała, że jeśli chce utrzymać cieplarnię i rośliny, w które włożył tyle pracy i serca, musi to zdanie zrewidować.

Jeszcze tego samego dnia spytała wybierającą się do miasta matkę, czy może z nią pojechać. Podczas gdy mama zajmowała się swoimi sprawami, Sandra odwiedziła wszystkie znane jej kwaciarnie. Na koniec zostawiła sobie Dos Gardenias, tę najlepszą w mieście, przy Trzynastej Ulicy.

Stojąc przed jej drzwiami, nie była najlepszej myśli. Właściciele poprzednich albo rzeczywiście - tak jak mówili - mieli stałych dostawców i nie chcieli ich zmieniać, albo żaden z nich nie potraktował poważnie piętnastoletniej dziewczyny, która zaproponowała, że będzie ich zaopatrywać w orchidee z własnej cieplarni.

Gdy weszła do środka i rozejrzała się po kwaciarni, znacznie większej, lepiej zaopatrzonej i gustowniej urządzonej niż te, które odwiedziła dotąd, uznała, że nie ma nawet co próbować. Kiedy więc siwowłosa elegancka pani, układająca w wazonie bladożółte róże, spytała, w czym może jej pomóc, Sandra powiedziała nieśmiało:

- Dziękuję, chciałam tylko obejrzeć te piękne kwiaty.

- Ależ proszę bardzo - odparła starsza pani, uśmiechając się uprzejmie.

Dziewczyna przyglądała się różom, liliom, strelicjom, frezjom, tulipanom, gardeniom i irysom, najdłużej jednak zatrzymała się przy orchideach.

- *Dendrobium loddigesii* - powiedziała, ujrzawszy drobne kwiaty, fioletoworóżowe na zewnątrz, z włochatymi środkami o intensywnej kanarkowej barwie i z białymi delikatnymi jęczyczkami w samym centrum.

Starsza pani uniosła głowę. Włożyła do wazonu ostatnią bladożółtą różę i podeszła do Sandry.

- Widzę, że znasz się na orchideach.

- Trochę - bąknęła niepewnie dziewczyna i przeniosła wzrok na drobniutkie kwiaty o wydłużonych delikatnych płatkach, bladozielonych, z cętkami w kolorze bakłażana.

Ze środka każdego kwiatu wyrastał żółty u podstawy jęczyzek z różowym szpiczastym końcem.

Tylko raz w życiu widziała ten gatunek na żywo, kiedy przed kilkoma laty dziadek zabrał ją na wystawę orchidei do Seattle, poza tym znała go jedynie ze zdjęć.

- To *Encyclia prismatocapra*, prawda? Siwowłosa pani popatrzyła na nią ze zdumieniem.

- No, no, zadziwiasz mnie - przyznała. Sandra nieśmiało wzruszyła ramionami.

- Skąd wiesz tyle o orchideach? - spytała kobieta.

- Mój dziadek je hodował. Nauczył mnie wszystkiego, czego można kogoś nauczyć o tych roślinach.

Starsza pani poprawiła na nosie okulary w złotych oprawkach i uważnie przyjrzała się Sandrze.

Po chwili zdjęła okulary i zaczęła je przecierać. Wtedy dziewczyna zobaczyła, że jej oczy zaszyły mgłą.

- Czy ty nie jesteś wnuczką Thomasa Spellinga? - spytała kobieta i zanim jej zaskoczona młoda rozmówczyni zdążyła odpowiedzieć, zawołała: - Ależ tak! Ta sama oprawa oczu, podobne rysy twarzy... Masz na imię... - zawahała się - Sandra! Oczywiście, że Sandra.

- Skąd pani zna moje imię? - spytała zdezorientowana dziewczyna.

Teraz to ona zaczęła uważnie przyglądać się kobiecie. Skądś ją znała, ale uzmysłowanie sobie skąd, zajęło jej dłuższą chwilę. Była jednak pewna, że się nie myli. Widziała tę elegancką panią na pogrzebie dziadka. Wytworna, w czerni, stała nieco z dala od innych żałobników i mimo woalki zakrywającej większą część twarzy, Sandra zauważyła łzy spływające po jej policzkach.

- Była pani na pogrzebie mojego dziadka, prawda? - spytała.

Kobieta skinęła głową.

- Przyjaźniłam się z nim - oznajmiła, a po chwili dodała cicho: - Łączyła nas wspólna pasja. Orchidee.

W jej głosie było jednak coś takiego, że Sandra nie mogła oprzeć się wrażeniu, że łączyły ich nie tylko te piękne kwiaty.

Ucieszyła się, kiedy dzwonek nad drzwiami obwieścił, że ktoś wszedł do kwaciarni. Dzięki temu miała czas, żeby pozbierać myśli.

- Przepraszam cię na chwilę - powiedziała starsza pani i odeszła, by zająć się klientem.

Sandra znów wróciła wzrokiem do orchidei. Nie mogła się jednak oszukiwać - znacznie bardziej niż kwiaty interesowała ją ta tajemnicza kobieta. Kiedy po pogrzebie spytała o nią rodziców, żadne z nich nie wiedziało, ani kim jest, ani dlaczego zjawiała się na cmentarzu. Już wtedy Sandrze przemknęła przez głowę myśl, że dziadek musiał mieć jakiś sekret. Teraz była tego całkowicie pewna.

Ze swojego miejsca w kącie kwaciarni obserwowała przyjaciółkę dziadka, gdy ta zręcznie układała bukiet z irysów i gardenii.

Kiedy klient zapłacił i wyszedł, starsza pani zwróciła się do Sandry:

- Zanim weszłaś, właśnie zamierzałam zrobić sobie herbatę. Nie miałabyś ochoty napić się ze mną?

Dziewczyna spojrzała na zegarek. Z mamą umówiła się o siódmej, a dochodziła dopiero szósta, miała więc całą godzinę. Poza tym nagle poczuła pragnienie. Ale jeszcze silniejsza od pragnienia była chęć, żeby pogawędzić z tą miłą panią.

- Bardzo chętnie.

- W takim razie usiądź sobie tutaj. - Kobieta wskazała secesyjny biały stolik z dwoma



krzesłami. - A ja za chwilę wrócę z herbatą - dodała i ze zwinnością zupełnie niepasującą do jej wieku zniknęła za drzwiami prowadzącymi na zaplecze.

Sandra usiadła i z przyjemnością rozglądała się po kwaciarni. Dobrze jej tu było, nie tak swojsko wprawdzie jak w cieplarni dziadka, ale nie towarzyszyło jej zagubienie, jakie zawsze czuła w nowych miejscach. I choć wciąż uważała, że orchidee to królowe kwiatów, musiała przyznać, że te inne również mogą być piękne.

Po dwóch, może trzech minutach starsza pani wróciła i postawiła na stoliku tacę z czajniczkiem i dwiema filiżankami z japońskiej porcelany.

-Jaka ze mnie gapa! - zawołała, uśmiechając się. -Ja już wiem, kim ty jesteś, a sama zapomniałam się przedstawić. Nazywam się Julia DeVries - powiedziała, wyciągając do Sandry rękę.

Zanim dziewczyna ją uściśnęła, zdążyła zauważyć szczupłe palce o idealnie zadbanych, choć niepomalowanych paznokciach.

- Jest pani właścicielką tej kwaciarni?

- Tak - odparła kobieta, po czym napełniła filiżanki jasnym aromatycznym płynem. - Jabłkowa z kardamonem - wyjaśniła.

- Pachnie pięknie.

- Za chwilę zobaczysz, jak smakuje. Twój dziadek uwielbiał tę herbatę. - Oczy starszej pani znów lekko zaszyły mgłą.

Ostrożnie, żeby się nie sparzyć, Sandra upiła mały łyżeczek.

- Rzeczywiście pyszna - przyznała.

- Czułam, że będzie ci smakować. - Pani DeVries dystyngowanym ruchem podniosła filiżankę do ust, wypiła łyk i odstawiła ją. - Jak twoja ręka?

Sandra w pierwszej chwili nie zrozumiała, o co chodzi, i dopiero po chwili przypomniała sobie, że cztery miesiące temu przewróciła się na wrotkach i złamała rękę powyżej nadgarstka.

- Pyta pani o tę złamaną? - upewniła się. -Tak.

- Wszystko w porządku. Już właściwie zapomniałam, że coś z nią było nie tak.

- A tak się martwiłaś, że nie będziesz już mogła pomagać dziadkowi przy orchideach.

- Wiedziała pani o tym? - zdziwiła się Sandra. - Dziadek dużo pani o mnie opowiadał...

- Tak - odparła starsza pani i uśmiechnęła się. To był piękny ciepły uśmiech. - Thomas miał dwa ulubione tematy. Jednym były jego orchidee, drugim ty. Z tym, że w innej kolejności. Ty byłaś na pierwszym miejscu.

Sandrze zrobiło się ciepło koło serca, tak ciepło, że aż zaczęły jej się pocić oczy. Przetarła je pośpiesznie.

Nie uszło to uwagi jej nowej znajomej. Wzięła dłoń dziewczyny w obie ręce i uścisnęła ją.

- Dziadek był z ciebie bardzo dumny. Sandra pokręciła głową. -Nie wiem, czy teraz dalej byłby ze innie dumny.

- Co ty mówisz?! - zaniepokoiła się pani DeVries. Dziewczyna westchnęła ciężko.

- Masz jakieś kłopoty? Pokręciła głową.

- Nie chcesz mi o nich opowiedzieć?

Sandra długo się zastanawiała, czy powinna zwierzyć się ze swoich problemów. Wprawdzie przysłała tu z nadzieją, że je rozwiąże, ale wchodząc do Dos Gardenias, nie miała pojęcia, kogo tu spotka. Ta miła pani mogłaby pomyśleć, że Sandra zechce wykorzystać jej przyjaźń z dziadkiem.

- Może potrafiłabym ci jakoś pomóc - zaproponowała pani DeVries.

Patrzyła przy tym tak szczerze i życzliwie, że Sandra w końcu postanowiła się przyznać, dlaczego dzisiaj zjawiała się w jej kwiaciarni.

- Po śmierci dziadka - zaczęła powoli - postanowiłam utrzymać cieplarnię i orchidee...

- Brawo!

- Sądziłam, że mi się to uda.

- Ale to okazało się zbyt trudne, tak?

~ Radzę sobie właściwie ze wszystkim - ciągnęła Sandra.

~ Thomas był zdania, że znasz się już na uprawie orchidei lepiej od niego.

- Nie, to niemożliwe - odparła dziewczyna z nieudawaną skromnością.

- On naprawdę tak uważał.

- Nauczyłam się od niego mnóstwa rzeczy. I wciąż się uczę, z książek, od innych hodowców orchidei, z którymi mam kontakt przez Internet.

- W takim razie z czym masz problem? Pewnie chodzi o szkołę - zaczęła zgadywać pani DeVries. - Nie możesz poświęcać kwiatom tyle czasu co Thomas, tak?

- Rzeczywiście, czasem nie jest proste znalezienie czasu i na szkołę, i na orchidee. Ale jakoś sobie z tym radzę.

- Więc o co chodzi?

- O to, że nie miałam pojęcia, ile kosztuje uprawianie orchidei. Rodziców nie stać, żeby to finansować, a ja wydałam już prawie wszystkie zaoszczędzone pieniądze.

- No tak. - Starsza pani pokiwała ze zrozumieniem głową. - To oczywiste. Że też nie

domyśliłam się tego od razu.

Sandrze nagle zrobiło się strasznie głupio. Przeraziła się, że pani DeVries za chwilę pomyśli - jeśli już sobie nie pomyślała - że ona zamierza ją prosić o pieniądze. A przecież nie chciała od nikogo pieniędzy. To znaczy zależało jej na nich, ale nie chciała ich tak po prostu dostać.

- Wczoraj przyszło mi do głowy, żeby zacząć sprzedawać orchidee i w ten sposób zarabiać na utrzymanie cieplarni - powiedziała szybko.

- Fantastyczny pomysł!

- No tak, pomysł może jest niezły, tylko gorzej z jego realizacją - powiedziała Sandra sceptycznie. - Byłam już dzisiaj we wszystkich kwaciarniach w mieście i pytałam ich właścicieli, czy nie potrzebują dostawcy orchidei.

Pani DeVries patrzyła na nią ze szczerym uśmiechem.

- Wszyscy mają już dostawców - kontynuowała dziewczyna. - Nie potrzebują nowych.

- Nie wszyscy - powiedziała starsza pani. - Nie wszyscy. Po prostu zaczęłaś swoją wędrowkę po mieście nie w rym miejscu, w którym powinnaś. Trzeba było zacząć od Dos Gardenias.

Sandra przez dłuższą chwilę przyglądała jej się, nie wierząc, że dobrze ją zrozumiała.

- Chce pani powiedzieć, że...

- Właśnie to chciałam powiedzieć. Że z największą przyjemnością będę sprzedawała w Dos Gardenias orchidee z cieplarni Thom... z waszej... twojej cieplarni.

- Naprawdę?

- Oczywiście.

Nagle cała radość uleciała z Sandry. Pani DeVries natychmiast to zauważyła.

- Czy coś się stało? - spytała.

-Nie wiem, jak to powiedzieć... Ale wydaje mi się, że pani to robi... no, przez wzgląd na mojego dziadka.

Starsza pani znów się uśmiechnęła.

- A nawet gdybym to robiła przez wzgląd na Thomasa? To co? Czy jest w tym coś złego?

- No, chyba tak...

- A cóż takiego?

- Czuję się tak, jakbym wykorzystywała pani przyjaźń z dziadkiem.

- A przychodząc tu, wiedziałaś, że się przyjaźniliśmy?

- Nie, jasne, że nie wiedziałam.

- No więc, w jaki sposób chciałaś mnie wykorzystać?

Sandra, nie wiedząc, co odpowiedzieć, wzruszyła ramionami.

- Zjawiłaś się w tej kwiaciarni, żeby zaproponować jej właścicielce interes - ciągnęła pani DeVries. - A ta właścicielka uważa, że to dobry interes. Więc cóż...? Pozostaje nam tylko omówić warunki.

-I naprawdę nie będzie miała pani wrażenia, że panią wykorzystuję?

- Moja młoda damo - zaczęła pani DeVries, udając, że robi groźną minę. -Ja może wyglądam na osobę łagodną jak baranek. Być może nawet taka jestem, ale tę kwiaciarnię prowadzę od prawie czterdziestu lat i zapewniam cię, że jeśli chodzi o interesy, nikomu nie udało się mnie wykorzystać.

Sandra uśmiechnęła się.

- Ach, jeszcze coś! - zawołała starsza pani. - Przez lata próbowałam namówić Thomasa, żeby pozwolił mi sprzedawać w Dos Gardenias wasze orchidee, ale zawsze mi mówił, że...

- Że orchidee są zbyt piękne, żeby mogły być przedmiotem handlu - dokończyła za nią dziewczyna i obie się roześmiały.

Po dłuższej chwili milczenia, która nastąpiła po tym wybuchu wesołości, Sandra odezwała się już poważnym, przejętym głosem.

- Myśli pani, że zrozumiałby to, że chcę je teraz sprzedawać?

- Jestem tego pewna. Robisz to przecież dla waszych orchidei.

Sandra pokiwała głową. W kwiaciarni znów zapadła cisza - przyjemna, tchnąca spokojem. Przerwała ją pani DeVries.

-I wiesz, co jeszcze mawiał twój dziadek?

- Co takiego?

- Że jesteś jego najpiękniejszą orchideą. -Tak mówił?

- Tak - potwierdziła pani DeVries, a po chwili dodała: - Musisz się tylko częściej uśmiechać. To nieprawda, że orchidee są smutne. Tajemnicze, owszem, ale wcale nie smutne. Orchidee też się śmieją, wiesz?

### 3

Następnego dnia po tej pierwszej wizycie w Dos Gardenias była sobota. Sandra, tak jak się umówiła z właścicielką kwaciarni, poprosiła ojca, by podwiózł ją do miasta.

Na tyle samochodu umieściła kilkanaście doniczek oraz zapakowane w cienki papier obsypane kwiatami cięte gałązki. Dużo czasu zajęło jej podjęcie decyzji, jakie okazy powinny się znaleźć w tej pierwszej dostawie. Z jednej strony zależało jej na tym, żeby były jak najpiękniejsze, z drugiej - tak jak jej doradzała pani DeVries - nie chciała, by ich sprzedaż uszczupliła uprawę.

Zrezygnowała na przykład z wyjątkowo efektownego *Disa uniflora*, szczególnie trudnego w pielęgnacji okazu, który dziadek sprowadził z Brazylii na krótko przed śmiercią. Niestety, po raz pierwszy zakwitł w ich cieplarni dopiero wtedy, gdy jego już nie było, Sandra postanowiła nie sprzedawać tego okazu, dopóki nie uda jej się go rozmnożyć.

Mimo to oczy pani DeVries zabłyśły, kiedy Sandra ustawiła na ladzie kwaciarni wszystkie doniczki, które tata pomógł jej przynieść z samochodu.

- Są przepiękne! - zawołała z zachwytem.

-I jeszcze to - powiedziała Sandra, wręczając jej ścięte gałązki jednego z najbardziej popularnych, ale też najbardziej trwałych gatunków orchidei. - Wybrałam takie, które niedawno zakwitły, tak że powinny trochę postać.

Pani DeVries ujęła je delikatnie i ułożyła w pustym wazonie.

- Śliczne barwy.

Sandra, ścinając orchidee, starała się je dobrać w ten sposób, żeby każda gałązka miała kwiaty w innym kolorze, od białego, przez kremowy, różne odcienie jasnego i ciemnego różu, liliowy, aż po niemal fioletowy. Teraz, patrząc na nie, była dumna ze swego wyboru.

Kilka minut zajęło im rozmieszczanie przywiezionych doniczek w różnych częściach kwaciarni. Pani DeVries słuchała przy tym uważnie wskazówek dziewczyny, która informowała ją, ile światła oraz jakiej wilgotności i temperatury wymagają poszczególne okazy.

- Będę się musiała jeszcze dużo nauczyć - powiedziała starsza pani.

- A właśnie! - zawołała Sandra, coś sobie przypomniawszy. - Przecież ja mam zapisane te wszystkie informacje.

Wyjęła z plecaka kilkanaście wydrukowanych poprzedniego wieczoru kartek i wręczyła je pani DeVries. Na każdej była łacińska nazwa gatunku, niewielki rysunek, krótki opis warunków wegetacji oraz zasady pielęgnowania.

- Widzę, że podeszłaś do tego bardzo profesjonalnie \_ pochwaliła ją właścicielka Dos Gardenias.

- Szkoda by było, żeby się zmarnowały tylko dlatego, że ktoś, kto by je kupił, nie wiedziałby, gdzie je postawić i jak pielęgnować. - Zamyśliła się, a po chwili dodała: - Zakładając, że ktoś w ogóle je kupi.

- Kupi, kupi - zapewniła ją pani DeVries. - Ale skoro już o tym mowa. - Tu zwróciła się do ojca swojej młodej dostawczym: - Ja i Sandra właściwie ustaliśmy już wczoraj warunki naszej współpracy, ale wzięwszy pod uwagę fakt, że ona ma dopiero piętnaście lat, wolałabym to omówić również z którymś z jej rodziców.

Sandra nie mówiła jej dotąd, w jakim jest wieku, po raz kolejny mogła się zatem przekonać, że dziadek dużo o niej opowiadał swojej przyjaciółce.

- Córka coś mi wspominała o tych warunkach - rzekł ojciec. - Przyznam się szczerze, że nie pamiętam ich dokładnie, ale wydały mi się uczciwe. '

Pani DeVries nie wystarczyła jednak ta deklaracja. Zaprosiła ojca i córkę na herbatę - oczywiście jabłkową z kardamonem - i jeszcze raz przedstawiła swoją propozycję.

Kwiaty cięte Sandra miała dostarczać w zależności od zamówienia i będzie za nie dostawać pieniądze niezależnie od tego, czy zostaną sprzedane, czy nie - połowę ceny detalicznej. Za doniczkowe natomiast otrzyma dwie trzecie ceny detalicznej, tyle że pani DeVries będzie je przyjmować w komis i płacić dopiero, kiedy znajdą nabywców.

- Tak, przypominam sobie - powiedział ojciec, gdy starsza pani wszystko dokładnie wyjaśniła. - Właśnie tak przedstawiła mi to wczoraj Sandra. - Uśmiechnął się do córki i położył dłoń na jej ramieniu. - No cóż. Jeśli ona to akceptuje, to my z żoną nie widzimy przeszkód. Sandra jest mądrą dziewczyną. Mamy do niej zaufanie.

Jeszcze chwilę gawędzili przy herbacie, a potem pani DeVries wystawiła czek na sto dolarów za dostarczone dzisiaj gałązki - po dziesięć za każdą - i odprowadziła ich do drzwi.

Pożegnali się i mieli wychodzić, ale ojciec nagle się zatrzymał.

- A nie miałyby pani ochoty kiedyś nas odwiedzić i obejrzeć pozostałych orchidei?

Starsza pani, wyraźnie zaskoczona zaproszeniem, zawahała się.

- Podobno przyjaźniła się pani z moim ojcem - dodał. - Tata na pewno bardzo by się ucieszył, wiedząc, że przyjaciele odwiedzają jego królestwo.

- O, tak - poparła go Sandra.

Wspomniała wczoraj rodzicom, że właścicielka Dos Gardenias i dziadek byli przyjaciółmi, ale tata dzisiaj w rozmowie ani razu do tego nie nawiązał. Ucieszyła się, że zrobił to teraz. A jeszcze bardziej ucieszyła się, kiedy pani DeVries przyjęła zaproszenie.

Pani DeVries przyjechała do nich w następny weekend, a potem składała wizytę co najmniej raz w miesiącu.

Ojciec albo mama pomagali Sandrze regularnie dostarczać kwiaty do Dos Gardenias. Bywały lepsze tygodnie, bywały gorsze, ale nie mogła narzekać. Już po dwóch miesiącach była spokojna, że zarobione pieniądze wystarczą jej na utrzymanie uprawy, pół roku później miała uzbieraną całkiem sporą sumę, a po roku zastanawiała się, czy nie namówić rodziców na budowę jeszcze jednej cieplarni.

Mniej więcej w tym czasie zaczęła się umawiać z Christopherem i zrozumiała, że na orchideach świat się nie kończy. A kiedy rozpoczął się ostatni rok szkoły, było jej tak ciężko pogodzić naukę, spotkania z Christopherem i pracę w cieplarni, że plany rozszerzenia uprawy postanowiła odłożyć na później.

Kiedy dostała prawo jazdy, wpadła na inny pomysł, co zrobić z pieniędzmi.

Podczas gdy jej koledzy i koleżanki za zarobione po lekcjach albo w czasie wakacji pieniądze kupowali sobie rozklekotane stare graty, ją było stać na nowy samochód, i to nie byle jaki, tylko taki, o jakim zawsze marzyła - volkswagena garbusa. W ślicznym pistacjowym kolorze, bo właśnie w takim zobaczyła go po raz pierwszy w salonie z europejskimi samochodami.

Długo się wahała, zanim komukolwiek opowiedziała o swoich planach. Wiedziała, jak jej znajomi patrzą na rówieśników szpanujących drogimi samochodami - z odrobiną zazdrości, ale też z dużą dozą pogardy. Tyle że tamci jeździli wozami kupionymi za pieniądze rodziców, a ona na swój ucziwie i ciężko pracowała. Więc to chyba nie to samo, przekonywała samą siebie.

I tak długo się przekonywała, aż wreszcie któregoś dnia zaprowadziła ojca do salonu samochodowego.

- Popatrz, tato - powiedziała, pokazując jasnozielonego garbusa. - Śliczny, prawda?

Ojciec, który przez całe życie jeździł dużymi, wygodnymi amerykańskimi wozami, skrzywił się na widok tego europejskiego wymysłu.

- A co w tym ślicznego? - prychnął.

- Jak to co? Ma ładną linię, cudny kolor... O właśnie! Dokładnie taki, jak ta *Encyclia*, która zakwitła w zeszłym tygodniu.

- Skarbie, wiesz przecież, że nie znam się na orchideach, a zwłaszcza na tych ich łacińskich nazwach.

-I na samochodach chyba też się nie znasz - droczyła się z nim córka.

Ojciec niechętnie dał się namówić na dokładniejsze oględziny garbusa. Był potężnie zbudowanym mężczyzną, musiał się więc porządnie nagimnastykować, żeby usiąść za kierownicą.

- Przecież to jest samochód dla krasnoludków - utyskiwał, wysiadając. - Kto jeździ czymś takim?

- Ja bym bardzo chciała - odezwała się Sandra. Przez całą drogę powrotną do domu próbował obrzydzić córce jej wymarzony samochód, a kiedy się zorientował, że wszystkie jego wysiłki idą na marne, machnął ręką i powiedział:

- A, rób sobie co chcesz. To w końcu twoje pieniądze.

- Wiedziałam, że się zgodzisz! - zawołała i zarzuciła mu ręce na szyję.

- Zaraz, czy ja się zgodziłem?

- No, chyba tak. Ale pójdziesz ze mną do tego salonu, dobrze? - poprosiła. - Może uda ci się trochę zbić cenę.

- No, na pewno nie dałbym tyle, ile chcą, za to europejskie dziwadło.

- Dzięki, tato. - Cmoknęła go w oba policzki. Jeszcze raz machnął ręką.

- Pogadaj z matką.

Z nią już rozmawiała poprzedniego dnia. Mama przyznała jej się, że kiedy była w college'u, też marzyła o garbusie, tyle że te z tamtych czasów wyglądały nieco inaczej. No i, oczywiście, nie było jej stać na taki samochód.

- Ale ty to co innego - powiedziała mama. - Ty sama zarabiasz pieniądze. I jeśli masz takie marzenie, to ja ci go nie zabiorę. Tylko pogadaj jeszcze z ojcem.

No więc właśnie z nim pogadała.

Sandra nie widziała już więcej przeszkód. Zamierzała jeszcze tylko zapytać Christophera. Nie dlatego, że jego zdanie mogłoby coś zmienić, po prostu chciała mu tym sprawić przyjemność.

Następnego dnia po szkole wybrała się z nim do salonu.

- Jak ci się podoba ten garbus? - zapytała, biorąc go za rękę i ciągnąc w stronę samochodu z jej snów.

-Garbus jak garbus - odparł bez odrobiny entuzjazmu.

- Nie podoba ci się?

-No wiesz, to są samochody dla dziewczyn. -Uśmiechnął się w sposób, za którym nie przepadała, i dodał: - No i dla pewnego typu chłopaków.

Nie lubiła tego lekceważącego tonu. Poczula lekką irytację. Ale napawając się



widokiem swojego wymarzonego cacka, wołała nie psuć sobie humoru dociekaniem, co Christopher miał na myśli, mówiąc: „Dla pewnego typu chłopaków”.

- To się dobrze składa. Bo ja akurat jestem dziewczyną. I kupię sobie garbusa. Właśnie tego.

- W tym kolorze? - Skrzywił się. - Nie możesz wybrać innego? Czarnego, na przykład? Albo srebrnego? Tylko taki beznadziejny?

- Beznadziejny?! To jest piękny odcień, taki sam jak *Enci*...

Przerwała, wiedziała bowiem, że Christopherowi, owszem, imponuje fakt, że jego dziewczyna zarabia pieniądze, ale zupełnie go nie interesuje jak. Mogła się o tym przekonać, kiedy zaprosiła go do siebie i zaprowadziła do cieplarni. Zauważyła, że ziewał, kiedy z dumą pokazywała mu najciekawsze okazy. A po pięciu minutach, znudzony, powiedział, że strasznie mu gorąco, i zapytał, czy nie mogliby wyjść.

Zabolało ją to wtedy, tym bardziej że miała jeszcze świeżo w pamięci, jak kilka dni wcześniej na meczu koszykówki, na który się z nim wybrała, starała się nie okazać, że ją to śmiertelnie nudzi. A przecież w ogóle nie interesowała się sportem.

No, ale Christopher był pierwszym chłopakiem, z którym się spotykała, próbowała więc nie dostrzegać jego wad, i nawet jeśli nie w pełni jej się to udawało, to jak najszybciej o nich zapominała.

- Pistacjowy - dodała, zakładając, że Christopher, nawet jeśli się nie zna na orchideach, to na pewno kiedyś jadł lody pistacjowe.

Tydzień później samochód jej marzeń stał już przed domem.

Pomijając ten zakup, Sandra nie była rozrzutna. Roseanne i inne koleżanki, które wiedziały, że całkiem nieźle zarabia na orchideach, dziwiły się, że nie zmienia całej swojej garderoby. Jediną rzeczą, której nie mogła się oprzeć, były odlotowe szpilki Prady. Zobaczyła je na wystawie butików właśnie tego dnia, kiedy dostarczała do Dos Gardenias wyjątkowo duże zamówienie, za które pani DeVries zapłaciła żywą gotówką.

Pistacjowy garbus, telefon komórkowy i szpilki Prady - to było wszystko, co kupiła dla siebie. Choć mogła pozwolić sobie na znacznie więcej. Najlepiej jednak czuła się, gdy obdarowywała najbliższych. Wreszcie mogła kupić mamie na urodziny kolczyki z prawdziwymi perłami, szlafrok i nocną koszulę z delikatnego jedwabiu, a ojcu wędkę, o jakiej zawsze marzył.

Nic nie cieszyło jej bardziej niż radość w oczach rodziców, kiedy wręczała im te prezenty. Chociaż... Tak, było coś, co cieszyło ją bardziej - świadomość, że za rok znów będzie mogła spełnić jakieś ich marzenia.

Tylko że życie lubi płać niespodzianki. Sandra wiedziała o tym, nie zdawała sobie jednak sprawy, że mogą być one aż tak bolesne.

W pierwszy piątek grudnia Sandra zaparkowała garbusa na tyłach budynku, w którym mieściła się Dos Gardenias, na wprost wejścia dla dostawców. Jej nowy samochód nie był przystosowany do transportu orchidei - do tego celu zdecydowanie lepiej nadawał się terenowy wóz ojca. Mimo to, gdy tylko kupiła swoje pistacjowe cacko, postanowiła odciążyć rodziców i nie prosić ich już o pomoc w dostawach.

Akurat na ten dzień - z powodu kilku ślubów i przyjęć weselnych, które pani DeVries zaopatrywała w kwiaty - zamówienie było wyjątkowo duże. Mimo to Sandrze udało się umieścić wszystkie orchidee w bagażniku i na tylnym siedzeniu.

Wyjęła z bagażnika dwa owinięte w papier pęki i ostrożnie trzymając je na jednym ramieniu, drugim pchnęła drzwi. Zdziwiła się, że nie ustąpiły, i pchnęła po raz drugi, tym razem wkładając w to znacznie więcej siły.

Odłożyła kwiaty na niski murek i spróbowała otworzyć drzwi, naciskając klamkę. Teraz nie miała już wątpliwości, że są zamknięte na klucz. Zawsze tkwił w zamku, ale pani DeVries nigdy go nie zamykała. Sandra uznała, że starsza pani musiała go przekręcić przez pomyłkę, i niczym się nie niepokojąc, podniosła orchidee, obeszła budynek i stanęła przed głównym wejściem do kwaciarni.

Jeszcze zanim nacisnęła klamkę i przekonała się, że te drzwi również są zamknięte, ogarnęło ją przeczucie, że stało się coś złego.

Rozejrzała się, szukając czegoś, na co mogłaby odłożyć orchidee, ale że nic takiego nie dostrzegła, położyła je na chodniku. Napierając ramieniem na drzwi, nerwowo naciskała klamkę. Przemknęło jej przez myśl, że może pani DeVries śpieszy się z przygotowywaniem kwiatów na przyjęcia weselne i nie chce, żeby w tym czasie przeszkadzali jej przypadkowi klienci. Zastukała więc kilka razy. Chwilę czekała, a potem podeszła do wystawy, do miejsca, z którego było widać prawie całe wnętrze. Teraz nie miała już wątpliwości - w kwaciarni nikogo nie było. Zaczęła się gorączkowo zastanawiać. Po pierwsze, co to może oznaczać; po drugie, co ma robić w tej sytuacji.

Zdarzało się, że pani DeVries miała jakieś sprawy do załatwienia i nie mogła siedzieć w kwaciarni, ale wtedy zawsze zastępowała ją Peggy, jej pomocnica. Jednak dzisiaj, kiedy trzeba było przygotować kwiaty na wesela, starsza pani raczej by się na nią nie zdała. Nawet jeśli zwróciłaby się do Peggy o pomoc, to z pewnością i tak chciałaby osobiście wszystkiego dopilnować.

No, a poza tym Sandra rozmawiała z nią poprzedniego dnia przez telefon. Umówiły

się na piątą, a pani DeVries prosiła ją, żeby się nie spóźniła z dostawą.

Sandra popatrzyła na zegarek i widząc, że jest dopiero za siedem piątą, nieco się uspokoiła. Przemknęło jej przez głowę, że starsza pani wyszła na krótko z kwiaciarni, żeby coś załatwić, i za chwilę wróci.

Podniosła kwiaty z chodnika i cierpliwie czekała. Ale niepokój powracał, z każdą upływającą minutą coraz silniejszy. Kwadrans po piątej Sandra postanowiła zadzwonić. W komórce, którą niedawno sobie sprawiła, miała wpisany zarówno domowy numer właścicielki Dos Gardenias, jak i numer jej komórki.

Najpierw zadzwoniła do domu. Dopiero po dziesiątym sygnale uznała, że nie warto czekać dłużej, bo i tak nikt nie podniesie słuchawki. Zadzwoniła na komórkę pani DeVries. Tym razem po piątym sygnale włączyła się poczta głosowa.

-Tu mówi Sandra... - powiedziała przestraszonym głosem. - Jestem pod kwiaciarnią i nie mogę się dostać do środka. Trochę się niepokoję. I nie bardzo wiem, co mam robić.

Zaczęła chodzić tam i z powrotem wzdłuż wystawy, najpierw powoli, a potem szybciej - po części dlatego, że była coraz bardziej zdenerwowana, a po części dlatego, że grudniowy chłód dawał jej się we znaki.

Kiedy poczuła, że ma skostniałe palce stóp, zaniepokoiła się o orchidee, te które miała ze sobą, i te zostawione w samochodzie. Zdawała sobie sprawę, że owe delikatne, hodowane w cieplarnianych warunkach rośliny - a przynajmniej większość ich gatunków - nie najlepiej znoszą mróz. Po chwili namysłu Sandra obeszła budynek, wsiadła do garbusa i włączyła silnik, żeby ogrzać wnętrze.

Dopiero gdy do palców stóp wróciło czucie, wyszła z samochodu i z nadzieją, że może w tym czasie wróciła właścicielka Dos Gardenias, podeszła do głównego wejścia. Ale w kwiaciarni wciąż nikogo nie było.

Sandra jeszcze kilka razy wracała do samochodu, włączała na kilka minut silnik i kiedy wnętrze garbusa nagrzewało się dostatecznie, szła sprawdzić, czy nie pojawiła się pani DeVries.

Co jakiś czas dzwoniła do niej, ale rezultat był zawsze ten sam - w domu nikt nie podnosił słuchawki, a w komórce włączała się poczta głosowa.

O siódmej po raz ostatni - już bez żadnej nadziei, tylko dla własnego spokoju - poszła zobaczyć, czy nie ma starszej pani. O tej godzinie pani DeVries zamykała kwiaciarnię, Sandra uznała więc dalsze czekanie za bezsensowne i wróciła do samochodu.

Zanim ruszyła, postanowiła zadzwonić do domu, pomyślała bowiem, że może starsza pani zadzwoniła tam i zostawiła jej jakąś wiadomość. Wprawdzie Sandra zdawała sobie

sprawę, że niepotrzebnie się ludzi. No bo niby dlaczego pani DeVries miałyby dzwonić do domu, skoro wiedziała, że Sandry tam nie ma, a znała przecież numer jej komórki. Poza tym, nawet jeśli tak zrobiła, to telefon odebrałoby ktoś z rodziców i na pewno już dawno skontaktowałoby się z Sandrą.

Rozumowała logicznie - pani DeVries rzeczywiście nie zostawiła dla niej żadnej wiadomości. Mimo to Sandra nie żałowała, że zadzwoniła do domu, ponieważ mama poradziła jej coś, na co sama dotąd nie wpadła.

- Słuchaj, a może powinnaś do niej pojechać i dowiedzieć się, co się dzieje - zasugerowała córce, kiedy ta opowiedziała jej o swoim kłopotcie.

- Do domu? - spytała dziewczyna. - Ale przecież dzwoniłam tam i nikt nie odbiera.

-No tak. To dziwne... - Matka zamyśliła się. - Zupełnie mi to wszystko nie pasuje do pani Julii. To przecież taka odpowiedzialna, solidna kobieta. - Znów przerwała.

- Trochę się o nią niepokoję.

- Ja też - przyznała Sandra. -I wiesz co? Chyba masz rację. Pojadę do niej.

Zanim przerwała połączenie, musiała obiecać mamie, że da znać, kiedy tylko czegoś się dowie.

Znała adres pani DeVries. Odwiedzała ją - czasem sama, a kilka razy z rodzicami, którzy się z nią zaprzyjaźnili.

Już parkując pod domem starszej pani, domyśliła się, że jej nie ma. We wszystkich oknach było ciemno. Sandra nie odjechała jednak. Wyszła z samochodu, podeszła do drzwi i zadzwoniła. Próbowwała nasłuchiwać, ale w środku panowała całkowita cisza.

Właściwie nie bardzo wiedząc, po co to robi, obeszła dom, zaglądając do każdego okna.

Wróciła do drzwi, jeszcze raz zadzwoniła i już chciała odejść, kiedy na ganku sąsiedniego domu pojawił się jakiś mężczyzna.

Sandra postanowiła wykorzystać tę okazję, żeby się czegoś dowiedzieć.

-Przepraszam pana! - zawołała. - Szukam pani DeVries. Byłam z nią dzisiaj umówiona w kwaciarni - wyjaśniła, podchodząc do porośniętego dzikim winem parkanu, oddzielającego obie posiadłości. - Ale się nie zjawiała.

Sąsiad pani DeVries zszedł z ganku i zbliżył się do dziewczyny.

- Nie mogła się zjawić - powiedział.

W jego głosie było coś takiego, że Sandra poczuła na plecach ciarki. Teraz wiedziała już, że wydarzyło się coś złego.

- Czy... Czy coś się stało?

- Julia zmarła.

Przez chwilę nie była w stanie się odezwać. Od momentu, gdy stanęła przed zamkniętymi drzwiami kwiaciarni, Sandrze przychodziły do głowy różne myśli - że pani DeVries rozchorowała się, że musiała gdzieś wyjechać - ale nie ta najgorsza. A nawet jeśli się pojawiała, dziewczyna starała się jej do siebie nie dopuścić.

- Kiedy? - spytała zdławionym głosem po długiej chwili. -I... I jak to się stało?

- Witaj, Sandro.

Na ganku stanęła kobieta. Dopiero kiedy podeszła do parkanu, dziewczyna rozpoznała w niej panią Hoover, z którą rozmawiała w dniu ostatnich odwiedzin u pani DeVries.

-Mój mąż ci powiedział, tak? - szepnęła. - Już wiesz?

- Wiem. - Sandrze tak zaschło w gardle, że ledwie było słycać jej odpowiedź. - Ale nie mogę w to uwierzyć... Po prostu nie mogę uwierzyć. - Starła z policzków łzy. - Jeszcze wczoraj rozmawiałam z nią przez telefon. - Z oczu popłynęły następne i tych nie próbowała już usuwać. - Jej głos brzmiał tak samo jak zawsze.

Pani Hoover uśmiechnęła się smutno. Miała spuchnięte powieki; było widać, że płakała.

- Ja wczoraj byłam u niej na kawie. I nie tylko rozmawialiśmy tak jak zawsze, ale i Julia wyglądała tak jak zawsze. A dzisiaj.... - Głos jej się załamał.

Mąż objął ją i przytulił.

- Spokojnie, kochanie. - Popatrzył na dziewczynę i powiedział: - To moja żona znalazła dzisiaj Julię... nieżywą.

Państwo Hooverowie zaprosili Sandrę do domu.

W pierwszej chwili odmówiła, ale potem pomyślała, że i tak nie jest teraz w stanie wsiąść do samochodu i jechać.

- Wejdz - nalegał pan Hoover. - Napijesz się czegoś ciepłego. Uspokoisz się. - Popatrzył na drogę, tam gdzie zaparkowała garbusa. - Przyjechałaś samochodem, prawda? Nie powinnaś prowadzić taka roztrzęsiona.

Długo siedziała u sąsiadów Julii DeVries. Pani Hoover opowiedziała, jak rano zdziwiła się, że samochód jej sąsiadki wciąż stoi pod domem, choć Julia wczoraj mówiła, że skoro świt musi jechać do kwiaciarni, żeby przygotować weselne kompozycje. W południe pani Hoover zaniepokoiła się na tyle, że poszła sprawdzić, co się dzieje.

Julia siedziała w swoim bujanym fotelu; wyglądała, jakby spała. Nie obudziła się jednak, gdy zjawiła się sąsiadka, ani wtedy, gdy ta potrząsnęła lekko jej ramieniem.

Pani Hoover nie była w stanie wyczuć pulsu Julii. A znalezione pośpiesznie lusterko,

które przystawiła jej do ust, nie pokryło się mgiełką.

Wezwany przez przerażoną panią Hoover lekarz był zdania, że Julia zmarła około sześciu godzin wcześniej na zawał serca, a badania przeprowadzone później w szpitalu potwierdziły jego opinię.

Sandra, tak jak obiecała mamie, zadzwoniła do domu i opowiedziała jej o wszystkim.

Matka, słysząc, jak dziewczyna jest poruszona śmiercią kobiety, która przez ostatnie miesiące stała się dla niej kimś więcej niż tylko partnerem w interesach, zaproponowała, że ona albo ojciec przyjadą, żeby odebrać córkę.

- Nie, mamo, nie trzeba - odparła. -Jestem u państwa Hooverów, sąsiadów pani Julii. Są dla mnie naprawdę mili. Piję właśnie czekoladę. Czuję się już lepiej. I obiecuję, że będę jechała naprawdę ostrożnie.

Państwo Hooverowie niemal wmusili w nią dwie filiżanki gorącej czekolady i zanim się pożegnali, kilka razy pytali, czy nie byłoby jednak lepiej, żeby przyjechali po nią rodzice.

Im również musiała obiecać, że będzie jechać bardzo powoli i ostrożnie.

Było wpół do dziesiątej, kiedy wsiadła do samochodu i przekręciła kluczyk w stacyjce. Termometr wskazywał dziesięć stopni poniżej zera.

Sandra odwróciła się i popatrzyła na tylne siedzenie, na zawinięte w cienki papier orchidee, które ponad dwie godziny były narażone na działanie mrozu.

Kto wie, może potrzebowały tej zaprawy, bo potem przez kilka tygodni musiały znieść jeszcze większe - styczniowe i lutowe - mrozy, leżąc na grobie Julii.

Sandra odwiedzała go wtedy prawie codziennie.

Patrzyła na swoje orchidee i nie widziała w nich smutku, z jakim ludzie kojarzą te piękne kwiaty.

Uśmiechały się do niej.

Uśmiechem Julii.

I uśmiechem dziadka.

Były przeznaczone na przyjęcia weselne, więc może stąd wzięły się te ich uśmiechy.

## 6

Sandrę do tego stopnia poruszyła nagła śmierć pani DeVries, że minęło sporo czasu, zanim sobie uświadomiła wszystkie jej konsekwencje. Przez kilka dni po pogrzebie nie mogła się pogodzić z utratą przyjaciółki, bo choć znały się zaledwie półtora roku, to mimo dużej różnicy wieku Sandra myślała o niej jak o przyjaciółce.

Dopiero po jakimś czasie zaczęła się zastanawiać, co stanie się z Dos Gardenias. Wiedziała, że pani DeVries nie miała dzieci. Jedynym członkiem rodziny, którego czasem wspominała, była siostra, która zmarła przed kilku laty.

Kiedy dwa tygodnie po pogrzebie Sandra przejeżdżała Trzynastą Ulicą, zatrzymała się przed kwiaciarnią. Nie musiała nawet sprawdzać, czy drzwi są zamknięte - wystarczyło, że spojrzała na zwiędłe kwiaty na wystawie, by wiedzieć, że od śmierci właścicielki nikt się o nie troszczy.

Niemal przywarła nosem do szyby, żeby zobaczyć, co się dzieje w środku. Wtedy usłyszała, że ktoś się za nią zatrzymuje.

- Aż żal patrzeć, prawda?

Odwróciła się i zobaczyła dozorcę, miłego starszego mężczyznę, który czasami pomagał jej przenosić orchidee z samochodu do kwiaciarni.

- Dzień dobry - przywitała go. - Rzeczywiście, bardzo smutny widok.

- Och - westchnął ciężko. - Gdyby pani DeVries to widziała, nie byłaby zadowolona. - Oj, nie byłaby...

- Z pewnością. - To je łączyło: Julia, tak jak Sandra, nie traktowała kwiatów tylko jako źródła zysku. - Wie pan może, co się stanie z Dos Gardenias?

- To nic pewnego, ale podobno pojawił się siostrzeniec pani DeVries, który po niej wszystko odziedziczył.

-I co ma zamiar zrobić z Dos Gardenias?

- Tego to już panience nie powiem, bo nie mam pojęcia. Albo komuś odsprzeda, albo zlikwiduje.

-No tak... - Dziewczyna zamyśliła się. Po raz pierwszy od śmierci Julii pomyślała, że być może nie będzie już miała komu sprzedawać orchidei.

- Na mnie już czas - rzekł dozorca. - Do widzenia, panienko.

- Do widzenia - powiedziała Sandra.

Patrzyła za nim, dopóki nie zniknął za rogiem budynku, a potem jeszcze chwilę spoglądała na wystawę. Widok jednak był tak smutny, że szybko wsiadła do samochodu i



odjechała.

Tego dnia zamierzali się uczyć z Christopherem do testu z chemii. Ale że do umówionego spotkania u niego w domu pozostała prawie godzina, postanowiła podjechać do państwa Hooverów. Miała nadzieję, że może sąsiedzi Julii wiedzą coś więcej niż dozorca.

Zastała tylko panią Hoover, która bardzo się ucieszyła na jej widok. Zaprosiła Sandrę do środka i od razu zaproponowała gorącą czekoladę. Sandra nie odmówiła.

- To miło, że wpadłaś - powiedziała gospodyni, stawiając przed nią filiżankę parującego napoju.

- Przejeżdżałam dzisiaj obok Dos Gardenias - oznajmiła dziewczyna. - Zatrzymałam się na chwilę, żeby zobaczyć, co się tam dzieje.

- Smutny widok, prawda? - Pani Hoover pokiwała głową.

-Bardzo smutny. Spotkałam tam przypadkiem dozorcę. Powiedział mi, że podobno siostrzeniec pani DeVries odziedziczył kwiaciarnię. I właśnie dlatego tu przyjechałam. Pomyślałam, że może państwo wiedzą coś więcej - wyjaśniła Sandra.

- Zgadza się. Julia nie spodziewała się swojej śmierci. Zresztą nikt się nie spodziewał. W każdym razie nie pozostawiła testamentu i siostrzeniec odziedziczył po niej wszystko, również kwiaciarnię. - Pani Hoover nie należała do osób, które ukrywają emocje. I teraz na jej twarzy ukazał się wyraz jawnej niechęci. - Może Julia nie byłaby zachwycona, że tak mówię o jej siostrzeńcu, ale nie podoba mi się ten człowiek.

Sandra popatrzyła na nią pytająco.

- Nie interesuje go nic poza pieniędzmi - wyjaśniła jej rozmówczyni. - Zależy mu tylko na tym, żeby jak najszybciej wszystko sprzedać i zagarnąć jak najwięcej dla siebie. Dom już jest wystawiony na sprzedaż.

-Widziałam tabliczkę, kiedy parkowałam. Ale na kwiaciarni nie wywieszono żadnej informacji.

- Bo podobno jest już kupiec.

- Naprawdę?

- Tak słyszałam.

- To chyba dobrze, prawda? - powiedziała Sandra.

- Tych roślin, które są w środku, i tak się pewnie już nie uratuje. Ale byłoby chyba źle, gdyby kwiaciarnia pozostawała zbyt długo zamknięta.

- Masz rację - przyznała pani Hoover. - Dos Gardenias miała przecież swoich stałych klientów, którzy teraz mogliby zacząć kupować kwiaty gdzie indziej.

- Właśnie!

-Zaraz, zaraz... - Pani Hoover popatrzyła na nią uważnie. - A co z twoimi orchideami?

Sandra poczuła się nieprzyjemnie. Kiedy po raz pierwszy przyszło jej do głowy, że to może być koniec jej interesu z orchideami, zawstydziła się sama przed sobą, że ma takie przyziemne, egoistyczne myśli.

Teraz, czując na sobie spojrzenie pani Hoover, wstydziła się również przed nią.

-Ale ja... - zaczęła, nie wiedząc, co właściwie ma powiedzieć. - Nie chodzi mi o siebie. Ja naprawdę...

- Dziecko - powiedziała uspokajająco pani Hoover. -Ja wiem, że przyjaźniłaś się z Julią, wiem, że byłaś do niej przywiązana. Ale nawet, jeśli to zabrzmi brutalnie, życie toczy się dalej. - Uśmiechnęła się do dziewczyny.

- Jestem pewna, że Julia powiedziałaaby ci to samo i że bardzo by chciała, żebyś nie przestała sprzedawać swoich kwiatów.

Sandra skinęła niepewnie głową. Jej rozmówczyni prawdopodobnie miała rację, mimo to ona i tak wciąż czuła się głupio.

- Ale ty raczej nie musisz się obawiać, że nie znajdziesz nabywców na swoje orchidee - dodała pani Hoover. - Są przecież takie piękne.

- Dziękuję - powiedziała Sandra, chociaż zdawała sobie sprawę, że pani Hoover może się mylić.

- Wiesz co? Postaram się mieć oczy i uszy otwarte. Jeśli tylko dowiem się czegoś o Dos Gardenias, natychmiast dam ci znać, żebyś mogła jak najszybciej porozmawiać z nowym właścicielem.

- To bardzo miłe z pani strony.

Pani Hoover dotrzymała obietnicy. Po dwóch tygodniach zadzwoniła do Sandry, żeby ją poinformować, że kwaciarnia została sprzedana. Znała nawet nazwisko nowego właściciela - Bridges - ale ani jej, ani dziewczynie nic ono nie mówiło.

Jeszcze tego samego dnia Sandra wybrała się do miasta. W swojej naiwności wierzyła, że zastanie w Dos Gardenias nowego właściciela i będzie mogła z nim porozmawiać.

Kwaciarnia była jednak zamknięta na cztery spusty i nawet nie można było zajrzeć do środka, ponieważ okna wystawowe i drzwi zostały przesłonięte płachtami, takimi jakich używa się podczas remontu. Na szybach naklejono wielkie napisy: NOWE OTWARCIE 14 LUTEGO.

Sandra dopiero po dłuższej chwili uświadomiła sobie, że to dzień walentynek. I po raz pierwszy od śmierci Julii poczuła radość. Dotychczas walentynkowe prezenty dostawała od Roseanne i od innych koleżanek. W lutym zeszłego roku nie spotykała się jeszcze z Christopherem.

Nigdy dotąd nie dostała tego dnia nic od chłopaka - od swojego chłopaka. W tym roku będzie zupełnie inaczej.

To będzie szczególny dzień, pomyślała i natychmiast zapragnęła zobaczyć się z Christopherem.

Jeszcze jej się nie zdarzyło zadzwonić do niego i powiedzieć, że ma ochotę się z nim spotkać, i to nie w weekend, ale zaraz, jak najszybciej. Dziś jednak postanowiła to zrobić. Kiedy wybrała jego numer i czekała na połączenie, przypomniała sobie słowa pani Hoover, że życie toczy się dalej. Tylko że w uszach Sandry te słowa zabrzmiały tak, jakby je wypowiedziała Julia.

Christopher wreszcie się odezwał. Nie była pewna, czy rzeczywiście tak długo nie odbierał, czy tylko jej się wydawało, bo tak niecierpliwie na to czekała.

- Halo - rzucił zasapanym głosem.

- Cześć. Już myślałam, że nie odbierzesz.

- Brałem prysznic.

- Słuchaj, jestem akurat na mieście, na Trzynastej, i tak sobie pomyślałam, że może moglibyśmy się spotkać.

Nie odpowiadał.

Przemknęło jej przez myśl, że powinna powiedzieć: „Nie ma sprawy, zapomnij”, ale pragnienie zobaczenia się z nim było silniejsze.

- Jeśli nie chcesz wychodzić z domu, mogę wpaść do ciebie.

-Hmmm...

Tym razem posłuchała głosu, który podszeptował jej, żeby dalej nie nalegać.

- W porządku - rzuciła na pozór beztróskim głosem. Nie chciała, żeby usłyszał w nim rozczarowanie.

- To chyba był głupi pomysł. Masz pewnie coś do zrobienia.

- Właśnie. - Odpowiedział zbyt szybko, jakby chciał skorzystać z wytłumaczenia, które mu podsunęła.

- Muszę jeszcze posiedzieć nad referatem z historii Stanów Zjednoczonych.

- Wydawało mi się, że napisałeś go już w zeszłym tygodniu. - Natychmiast pożałowała, że to powiedziała, chociaż doskonale pamiętała, jak się cieszył, że wreszcie udało mu się skończyć ten referat.

- Niby tak, ale muszę jeszcze kilka rzeczy pozmieniać. Christopher był zdolny, ale z pewnością nie należał do najgorliwszych uczniów i Sandra jakoś nie potrafiła sobie wyobrazić, że wraca do czegoś, co uznał za zakończone. Zwłaszcza jeśli dotyczyło to historii, której nie znosił.

- Spotkamy się w sobotę, tak jak się umawialiśmy - powiedział. -I wybierzemy się do kina.

- Jasne - rzuciła, próbując odsunąć podejrzenia, że Christopher nie mówi jej prawdy. - Nie będę ci już dzisiaj zawracać głowy. Siadaj do tego referatu. Zobaczymy się jutro w szkole. Pa.

- Cześć, do jutra.

Radość życia, którą poczuła kilka minut wcześniej, zaczęła się ulatniać, ale Sandra chciała za wszelką cenę ją zatrzymać. Zmusiła się więc, żeby zapomnieć o tym, że głos Christophera brzmiał dosyć dziwnie. Zamiast tego starała się myśleć o ich sobotnim spotkaniu i o zbliżających się walentynkach.

Kilka dni później Heather Sandler powiedziała, że „chyba” widziała na mieście Christophera z Jackie Donovan. Potem, kiedy już wszystko było jasne, Sandra nie potrafiła zrozumieć, że potraktowała tę informację jak większość plotek roznoszonych przez Heather, zamiast powiązać ją z podejrzeniami, które nasunęły jej się przed paroma dniami.

W sobotę nie spotkała się z Christopherem.

W piątek po lekcjach czekał na nią koło jej szafki.

- Cześć! - zawołała ucieszona jego widokiem. Wszystko wskazywało na to, że niedawno odzyskana radość życia zagościła w niej na dobre. - Miałeś mieć dzisiaj po lekcjach

trening, prawda?

- Tak, zaraz idę, ale muszę z tobą porozmawiać. Sandra, wciąż uśmiechnięta, otworzyła szafkę.

- Słuchaj, nie możemy się jutro spotkać - oznajmił Christopher. - Muszę jechać do Salem.

- Do babci?

W grudniu, kiedy Sandra poczuła się już na tyle pewnie jako kierowca, żeby odważyć się na dłuższą podróż, pojechali garbusem do Salem. Przy okazji odwiedzili tam jego babcię.

- Właśnie.

-Coś się stało? - Bardzo polubiła jego babcię, która okazała się przemiłą i zabawną staruszką. - Jest chora?

Skinął głową.

- Coś poważnego? - spytała zaniepokojona.

- No, nie wiadomo.

- Coś chyba musisz wiedzieć - powiedziała. - Czy to jest grypa, czy... -I dziadek, i Julia zmarli na zawał serca, nic więc dziwnego, że to było pierwsze, co przyszło jej do głowy.

- Czy coś z sercem?

- Właśnie.

Przez chwilę się zastanawiała. Planowała, że przez cały weekend, poza sobotnim wieczorem, popracuje w cieplarni. Przez ostatnie tygodnie robiła tylko to, co było absolutnie konieczne, inne rzeczy odkładając na potem. Czowała, że już najwyższy czas, żeby się za nie zabrać.

Teraz pomyślała jednak, że wszystkie te prace mogą jeszcze trochę poczekać.

- Słuchaj, Chris, może chcesz, żebym z tobą pojechała? Zamierzałam wprowadzić...

Przerwała, ponieważ dostrzegła w jego oczach jakiś dziwny wyraz. Nie potrafiłaby go opisać, nie wiedziała, co oznacza, ale zrozumiała, że występując z tą propozycją, popełniła błąd.

- Jadę z rodzicami - oznajmił po chwili.

- Jasne. Powinam na to wpaść wcześniej - powiedziała, stukając się w czoło. - To oczywiście, że jedziecie tam razem, skoro babcia jest chora.

Christopher przez chwilę przestępował z nogi na nogę.

- Muszę lecieć - powiedział w końcu. -Już i tak jestem spóźniony na trening.

- Biegnij.

-I przepraszam za ten jutrzejszy wieczór.

- No coś ty! Musisz przecież jechać do babci. Nigdy dotąd tego nie robiła - nie w szkole - ale teraz, chcąc mu pokazać, że wszystko jest w porządku, pocałowała go w usta. Nie był to długi pocałunek, zaledwie muśnięcie warg, ale chłopak cofnął się tak gwałtownie, że uderzył plecami o szafkę.

- W porządku, uspokój się, chyba nikt tego nie widział - powiedziała. Uśmiechnęła się, ale przed sobą nie mogła udawać, że nie zabolęła jej reakcja Christophera.

- To ja już pójdę - powiedział. - I przykro mi, że nic nie wyjdzie z jutrzejszego kina. Pójdziemy w przyszłą sobotę, dobrze?

- Dobrze.

W następną sobotę również nie wybrała się z nim do kina. Powiedział, że wyjeżdża na cały weekend do Salem. A tymczasem w sobotę Roseanne zobaczyła go w kinie z Jackie Donovan.

Powiedziała o tym przyjaciółce dopiero w poniedziałek, kiedy spotkały się przy szafkach przed pierwszą lekcją.

Pod Sandrą ugięły się kolana. Przez chwilę miała wrażenie, że to tylko senny koszmar. Dopiero kiedy potrafił ją jakiś chłopak z młodszej klasy, tak że omal nie upadła, nie mogła się dłużej oszukiwać, że to sen.

- Dlaczego mówisz mi to dopiero dzisiaj? - zapytała przyjaciółkę łamiącym się głosem.

- Bo nie widziałam cię od soboty.

- Mogłaś zadzwonić.

- Nie chciałam ci tego mówić przez telefon. Zresztą, jakie to ma znaczenie, czy dowiedziałas się tego dzisiaj, czy w sobotę.

- Pewnie żadne. Tak czy tak, dowiaduję się o tym ostatnia. - Sandra z całej siły zacisnęła powieki, żeby się nie rozplakać. Smutek przyszedł później, na razie była tylko wściekła. - Jezu! Wyobrażasz sobie, co ludzie o tym mówią?! Muszą mnie uważać za skończoną idiotkę. Cała szkoła już wie, że mój chl... że Christopher umawia się z Jackie Donovan i obściskuje się z nią po kinach, tylko ja jedna nie!!! Pięknie!

- Przestań się tak miotać - powiedziała cicho Roseanne. - Na razie nikt o tym nie mówi, ale jeśli dalej będziesz się tak wydzierać, to zaczną.

- Nikt nie mówi?! - Sandra spojrzała na przyjaciółkę, mrużąc oczy. - Już kilka razy widziałam, jak niektóre dziewczyny na mój widok gwałtownie milkną, i czułam, że rozmawiały o mnie.

- No, może Heather i jej psiapsiółki.

- No właśnie. A to wystarczy.

- Daj spokój. Nikt nigdy nie traktował poważnie jej gadania, a zwłaszcza ty.

- Bo nigdy nie dotyczyło mnie osobiście.

- W ogóle nie przejmowałaś się tym, co mówią ludzie - przypomniała przyjaciółce Roseanne. -I zawsze cię za to podziwiałam.

- No to teraz nie masz już za co mnie podziwiać. Jak można zresztą podziwiać taką skończoną idiotkę?!

- Przestań tak mówić. Nie jesteś idiotką.

- Nie?!

- Nie, nie jesteś.

- Nawet sobie nie wyobrażasz, jaka jestem głupia i ślepa. Dwa razy odwoływał nasze weekendowe spotkania, tłumacząc się, że musi jechać do Salem do chorej babci. A ja, idiotka, mu wierzyłam. Jeszcze mu współczułam i martwiłam się o nią... - Sandra przerwała, uśmiechnęła się gorzko i pokręciła głową. - Za pierwszym razem zaproponowałam mu nawet, że pojedę z nim do Salem. Boże... Jak ja się mogłam tak wygłupić?!

- Wcale się nie wygłupiłaś. Po prostu mu ufałaś.

- Może, ale wychodzi na to, że ufanie chłopakowi i głupota to samo.

- Co za brednie - prychnęła Roseanne. - To normalne, że dziewczyna ma zaufanie do swojego chłopaka. Nie wyobrażam sobie, że mogłoby być inaczej.

Sandra zamyśliła się.

- Tylko gdzie się kończy zaufanie, a zaczyna głupota i naiwność? - zapytała bardziej siebie niż przyjaciółkę.

- Wiesz, to jest niesamowite - powiedziała Roseanne.

- Co jest niesamowite?

- To, że ty sobie coś zarzucasz, że się obwiniasz. A to przecież Christopher okazał się świnią.

Tego dnia na pierwszej lekcji nie miały wspólnych zajęć, więc kiedy rozległ się dzwonek, musiały skończyć rozmowę.

W miarę jak mijał dzień, w Sandrze wzbierała coraz większa wściekłość. Była zła na siebie i na Christophera. Na siebie za naiwność; na niego nie tyle za to, że zaczął się spotykać z inną dziewczyną - to ją bardziej bolało, niż złościło - ale za to, że nie miał odwagi się do tego przyznać i że ją okłamywał.

Zastanawiała się, jak długo zamierzał to przed nią ukrywać, i w całej tej koszarnej sytuacji wreszcie udało jej się zobaczyć jakiś jasny punkt. Bo przecież kto wie, ile by to

jeszcze mogło potrwać, gdyby Roseanne nie zobaczyła go w kinie z Jackie Donovan.



Zachowanie Christophera, kiedy w czasie przerwy na lunch spotkali się przed wejściem do stołówki, przekonało ją, że nawet jeśli chciał jej wyznać prawdę, to na pewno nie zamierzał zrobić tego dzisiaj.

- Cześć, Sandro! - zawołał jak gdyby nigdy nic, co upewniło ją, że Roseanne nie myliła się, twierdząc, że nie dostrzegł jej w kinie.

Sandra nie miała pojęcia, skąd znalazła w sobie tyle siły, żeby powstrzymać się przed obrzuceniem go stekiem wyzwisk, bo na widok jego uśmiechu właśnie to chciała zrobić. Chwilę potem potrzebowała jeszcze więcej siły, żeby się nie rozplakać. Ale i tego udało jej się jakimś cudem dokonać.

Co więcej, zdołała nawet zmusić się do uśmiechu, kiedy odpowiadała:

- Cześć, Christopher. Co u twojej babci?

- Hmm... Chyba lepiej.

- To świetnie. - W środku cała dygotała, ale jej głos brzmiał tak spokojnie, że nie mogła wprost w to uwierzyć. - Nie zapomniałeś pozdrowić jej ode mnie?

- Jasne, że nie zapomniałem.

Przyglądała mu się chyba zbyt natarczywie. Przełknął ślinę i dodał:

- Prosiła, żebym też cię pozdrowił.

- To miło. Podziękuj jej ode mnie, jeśli będziesz do niej dzwonił. - Gdyby Sandrze nie było tak smutno, ta gra być może nawet by ją bawiła, a fakt, że tak dobrze radzi sobie ze swoją rolą, pewnie dostarczyłby jej satysfakcji. - Bo rozumiem, że skoro czuje się już lepiej, to nie wybierasz się do Salem w przyszłą sobotę.

Cały czas uśmiechnięta, patrzyła mu prosto w oczy, tak długo, że w końcu umknął wzrokiem w bok.

- Właściwie to ona nie czuje się jeszcze całkiem dobrze - powiedział. - Nie wiem, czy jednak nie będę musiał pojechać.

Sandra zobaczyła zbliżającą się Roseanne, która, wchodząc do stołówki, zatrzymała się i rzuciła jej zdumione spojrzenie. Najwyraźniej nie mogła uwierzyć, że jej przyjaciółka po tym, czego się dzisiaj dowiedziała, potrafi się uśmiechać do Christophera.

Sandra sama nie mogła w to uwierzyć i nagle poczuła, że ma już dosyć tej farsy. Uśmiech znikł z jej twarzy.

- Dlaczego? - zapytała cicho. Chłopak uniósł brwi.

- Dlaczego mi po prostu nie powiedziałaś, że umawiasz się z Jackie Donovan?

Nie miała pojęcia, że Christopher się czerwieni; nigdy jeszcze nie widziała go zaczerwienionego. Teraz cała jego twarz, uszy i szyja spąsowiały.

Na sekundę poczuła satysfakcję, kiedy uświadomiła sobie, że jej były chłopak wcale nie jest takim siódmym cudem świata. Ze swoimi bardzo jasnymi włosami, rzęsami i brwiami, nie wyglądał dobrze z tym ciemnym rumieńcem.

- Jak długo jeszcze zamierzałeś to robić? - spytała. - Opowiadać mi, że wyjeżdżasz do Salem? Wymyślać chorobę babci?

- Sandro... ja... wiesz... - Popatrzył na nią tak bezradnie, jakby spodziewał się, że ona przyjdzie mu z pomocą i podpowie mu, jak z tego wybrnąć. - Słuchaj, to nie jest chyba dobre miejsce na takie rozmowy.

- Pewnie masz rację - przyznała. - Ale na takie rozmowy nie ma dobrych miejsc.

- Może będzie lepiej, jeśli pogadamy po lekcjach. Stali dwa metry od wejścia do stołówki, więc co chwila ją ktoś potrącał. Miejsce rzeczywiście było fatalne na jakiegokolwiek rozmowy. Sandra zastanawiała się przez chwilę, czy nie odłożyć tego na później. Ale z drugiej strony, właściwie nie było już czego odkładać. Cóż mogła mu jeszcze powiedzieć? Że była naiwną idiotką? Że ją zranił? Że czuje się upokorzona? Że nie wie, kiedy i czy w ogóle będzie w stanie zaufać jakiegokolwiek chłopakowi?

Nie, Christopher był ostatnią osobą, której chciałaby to wszystko powiedzieć.

- Nie ma już o czym rozmawiać - ucięła. - Życzę ci szczęścia - dodała po chwili. - I były to najbardziej fałszywe słowa, jakie tego dnia padły z jej ust.

Już weszła do stołówki, kiedy poczuła, że złapał ją za ramię.

- Sandro, zaczekaj!

Odwróciła się i popatrzyła na niego.

Nagle zapragnęła, żeby to wszystko okazało się jakimś koszmarnym nieporozumieniem. On za chwilę to wyjaśni, pomyślała. W ciągu paru sekund przyszło jej do głowy kilka pomysłów jakby żywcem wyjętych z filmów trzeciej kategorii - jeden bardziej idiotyczny od drugiego. Na przykład taki, że Christopher ma sobowtóra. Albo nie ma sobowtóra, tylko Jackie Donovan jest jego przyrodnią siostrą, razem odwiedzili babcię, a wracając wpadli do kina...

On jednak niczego nie wyjaśnił. Zadał pytanie, które natychmiast przywróciło jej zdolność rozsądnego myślenia.

- Jak się o tym dowiedziałas?

- Nieważne - rzuciła, zła na siebie, że znowu okazała się naiwną idiotką. - Ale cieszy mnie to, że się w ogóle dowiedziałam. Szkoda tylko, że nie od ciebie.

Tym razem odeszła na tyle szybko, żeby nie dać mu szansy, by ją zatrzymał. Roseanne zaczęła machać na jej widok i pokazywać miejsce, które dla niej zajęła.

Pozostałe dziewczęta siedzące przy stole były tak pochłonięte rozmową, że w ogóle nie zwróciły uwagi na jej pojawienie się. Sandrę to ucieszyło; czuła się tak przybita, że pewnie nie potrafiłaby nawet odpowiadać na zwykłe pytania w rodzaju: „Co słychać?”.

- Nie weźmiesz sobie nic do jedzenia? - spytała cicho Roseanne, kiedy jej przyjaciółka opadła ciężko na krzesło. Uważnie przyjrzała się Sandrze.

Jeszcze dwie, trzy minuty temu uśmiechała się do Christophera. Teraz w jej oczach malowało się przygnębienie.

- Chyba nie byłabym w stanie nic przełknąć - odparła.

- Ale może przyniosę sobie coś do picia. Zupełnie zaschło mi w ustach.

Wstała, ale ujrawszy przy ladzie Christophera, zawahała się.

Roseanne, która obserwowała przyjaciółkę, domyśliła się o co chodzi.

- Ja pójdę - zaproponowała. - Co ci przynieść?

- Cokolwiek. Dzięki - powiedziała Sandra, siadając. Przy ladzie stało kilkanaście osób, chwilę więc trwało, zanim Roseanne wróciła. W tym czasie Sandra starała się bezskutecznie oderwać myśli od Christophera i słuchała paplaniny koleżanek, próbując się zorientować, o czym rozmawiają.

No i o czym siedemnastoletnie dziewczyny mogły rozmawiać trzynastego lutego? Oczywiście, że o jutrzejszych walentynkach!

Ona również myślała o nich, jadąc rano do szkoły. Zaplanowała, że po lekcjach wybierze się na zakupy i wreszcie kupi coś dla Christophera. Fakt, że do dzisiaj nie miała dla niego prezentu, nie oznaczał, że zostawiła to na ostatnią chwilę. Już od dwóch tygodni chodziła po sklepach, zastanawiając się, co mu kupić. Tylko że wszystko wydawało jej się zbyt banalne jak na pierwszy walentynko wy prezent dla jej chłopaka.

A teraz problem rozwiązał się sam. Nie miała już chłopaka.

Wiedząc, że szukanie prezentu dla Christophera może zająć trochę czasu, Sandra rano uprzedziła mamę, że będzie w domu później niż zwykle.

Dopóki trwały lekcje, chciała, żeby jak najszybciej się skończyły. Nie mogła się doczekać, kiedy wróci do domu i wreszcie odwiedzi swoje orchidee. Zawsze kiedy było jej źle, szła do cieplarni i nie wychodziła stamtąd, dopóki nie poprawił jej się nastrój.

Dziś jednak była tak przygnębiona, że zwątpiła nawet w kojącą moc swoich ukochanych roślin i po wyjściu ze szkoły zastanawiała się, czy jechać od razu do domu. Mama pewnie zdziwi się, że tak szybko wróciła, zacznie ją wypytywać dlaczego. A Sandra wolała nie opowiadać jej o Christopherze, przynajmniej nie dzisiaj.

Przypomniała sobie dzień, kiedy po raz pierwszy zaprosiła go do domu i poznała z rodzicami. Pamiętała dokładnie, co powiedziała mama po jego wyjściu.

- Przepraszam cię, Sandro, ale coś mi się w tym chłopcu nie podoba. Nie wiem dlaczego, ale mu nie ufam.

- Co ci się nie podoba? I dlaczego mu nie ufasz?

- pytała Sandra. Zupełnie niepotrzebnie, ponieważ dobrze znała odpowiedź.

Mama bardzo szybko wyrabiała sobie opinię o nowo poznanych ludziach i kierowała się przy tym wyłącznie intuicją, która - jak twierdziła - jeszcze nigdy jej nie zawiodła.

Sandra zezłościła się wtedy i stanęła w obronie Christophera. Teraz była przybita i ostatnią rzeczą, którą by chciała usłyszeć, było matczyne „A nie mówiłam”.

-Co będziesz teraz robić? Jedziesz do domu?

- spytała Roseanne, odprowadzając ją do garbusa. Za kwadrans miały się zacząć zajęcia kółka teatralnego, do którego należała, wyszła więc ze szkoły tylko na chwilę.

-Właśnie się nad tym zastanawiam. Miałam po lekcjach kupić Christopherowi coś na walentynki - powiedziała Sandra i uśmiechnęła się gorzko. - No ale to już nieaktualne.

- Miałabym nawet pomysł na prezent dla niego. Tylko że to jest raczej trudne do zdobycia.

Sandra popatrzyła na nią pytająco.

- Cykuta - rzuciła Roseanne.

-Muszę przyznać, że przychodziły mi dzisiaj do głowy różne mordercze myśli, ale aż tak drastyczne to chyba nie.

-Wiesz co? Powinnaś jednak pojechać na miasto i kupić prezent. Dla siebie.

Sandra popatrzyła na przyjaciółkę, nie kryjąc, że jej pomysł uważa za dziwaczny.

-Naprawdę, nic tak dobrze nie robi zdołowanej dziewczynie jak sprawienie sobie czegoś fajnego - przekonywała ją Roseanne. - Ciucha albo kosmetyku.

- Raczej nie jestem dziś w nastroju do kupowania sobie czegośkolwiek.

- Gdyby nie próba, mogłybyśmy pójść gdzieś razem. Ale to jest pierwsza próba kostiumowa. Nie mogę jej opuścić.

- Jasne, że nie możesz - powiedziała Sandra, wdzięczna przyjaciółce, która tego dnia, kiedy tylko mogła, starała się nie zostawiać jej samej. - Biegnij już, bo się spóźnisz. A poza tym się przeziębisz. - Dopiero teraz zauważyła, że Roseanne wyszła z budynku bez kurtki. -I nie martw się mną. Poradzę sobie.

- Na pewno?

Sandra skinęła głową i zmusiła się do uśmiechu.

- No to lecę. Zadzwoń do ciebie, kiedy wrócę do domu, dobrze?

- Fajnie. Pa.

Sandra wsiadła do samochodu, włączyła silnik, ale ruszyła dopiero wtedy, gdy Roseanne zniknęła za drzwiami szkoły. Wyjeżdżając z parkingu, nie skręciła w lewo w stronę domu, lecz w prawo - do miasta.

Nie zastanawiała się, dokąd jedzie. Kiedy dotarła na Trzynastą Ulicę i zatrzymała się przed Dos Gardenias, miała wrażenie, jakby znalazła się tam bez żadnego własnego udziału, jakby garbus sam ją przywiózł w to miejsce.

Nie gasząc silnika, siedziała kilka minut w samochodzie i patrzyła na wciąż zakryte płachtami wystawy. Domyśliła się, że zostaną usunięte dopiero jutro, w dniu otwarcia. Próbowwała sobie wyobrazić, jak wygląda teraz wnętrze kwiaciarni - czy cokolwiek zostało takie jak za życia Julii, czy zmieniono wszystko.

Już dawno zaplanowała, że przyjedzie tu po walentynkach. Wiedziała, że dzień otwarcia nie jest najlepszy na składanie wizyty właścicielowi.

Już zamierzała odjechać, kiedy w wąskiej nieprzystłoniętej części drzwi, na którą wcześniej nie zwróciła uwagi, dostrzegła jakiś ruch. Wcale się tym nie dziwiła. To normalne, że w przeddzień otwarcia trwały gorączkowe przygotowania i ktoś tam był.

Korciło ją, żeby zajrzeć przez szczelinę do wnętrza. Chwilę się wahała, po czym zgasiła silnik i wyszła z samochodu. Dopiero wtedy zobaczyła, że nowy właściciel zmienił szyld kwiaciarni. Zamiast stylowych liter z kutego metalu wisiała duża nowoczesna, podświetlana neonówkami tablica. Ale nie tylko szyld się zmienił, również nazwa. Kwiaciarnia nie nazywała się już Dos Gardenias, lecz... ORCHIDEA.

Sandrze zrobiło się przykro. Z drugiej jednak strony podziało to na nią jak

zaproszenie. No bo skoro nowy właściciel zdecydował się na taką nazwę, najwyraźniej cenił te kwiaty, a to mogło jej dobrze wróżyć.

Podeszła do drzwi i przez szczelinę zajrzała do środka. Tak jak myślała, wewnątrz trwały przygotowania do otwarcia; kilka osób krzątało się pośpiesznie.

Młoda, niewiele od niej starsza, dziewczyna postawiła wazon z liliami na podeście na wprost wejścia. Cofnęła się o kilka kroków, żeby ocenić, jak wyglądają, po czym, najwyraźniej niezadowolona z rezultatu, podniosła wazon i rozejrzała się w poszukiwaniu lepszego miejsca.

I wtedy zobaczyła, że ktoś, z nosem przytkniętym do szyby, zagląda do kwaciarni.

Mimo że dziewczyna uśmiechnęła się przyjaźnie, Sandrze zrobiło się głupio i jak poparzona odskoczyła do tyłu. Nie mogła już zobaczyć, że tamta odkłada wazon i podchodzi do drzwi. Uchyliła je i wystawiła głowę.

- Otwieramy dopiero jutro - powiedziała.

- Tak, wiem. - Sandra wskazała na informujące o tym napisy. - Przeczytałam.

- Więc zapraszamy jutro.

- Tak... Jutro pewnie nie przyjdę, ale może pojutrze.

Dziewczyna wciąż się uśmiechała. Nie tak jak ekspedientki do klientów. To był szczerzy życzliwy uśmiech. I pewnie właśnie on sprawił, że Sandra postanowiła spróbować. Ten dzień zaczął się koszmarnie, ale czy musiał się również tak skończyć? Jeśli istniała jakakolwiek szansa, żeby się pozbyć nieprzyjemnego poczucia klęski, które gnębiło ją od rana, to chciała ją wykorzystać.

Rozpaczliwie potrzebowała, żeby wydarzyło się coś dobrego. Coś, co jeśli nawet nie pozwoliłoby jej zapomnieć o Christopherze, znieczuliłoby choć trochę ból.

- Tak - powiedziała. - Wpadnę, bo chciałabym porozmawiać z właścicielem.

Dziewczyna uniosła brwi i otworzyła drzwi nieco szerzej.

Sandra nie miała pojęcia od czego zacząć.

- Znałam panią DeVries - oznajmiła w końcu. Brwi dziewczyny podskoczyły jeszcze wyżej.

- To była właścicielka Dos Gardenias... - Sandra spojrzała w górę, na szyld, i zaraz się poprawiła: - Tej kwaciarni.

- Ach, tak!

- Uprawiam orchidee - powiedziała szybko Sandra, czując, że musi iść za ciosem. - I zaopatrywałam w nie Dos Gardenias.

- Naprawdę? Fantastycznie. To moje ulubione kwiaty.

- Tak. I w ciągu ostatniego roku byłam jej jedynym dostawcą orchidei.

- Lucy! - Za plecami dziewczyny stanął szpakowaty mężczyzna koło pięćdziesiątki. - Chcesz nas tu wszystkich pozazębiać? Już nie wspomnę o kwiatach.

-Przepraszam, tato - powiedziała dziewczyna, po czym popatrzyła na Sandrę: - Może wejdiesz do środka?

Sandra wahała się tylko sekundę. Wiedziała, że będzie żałować, jeśli nie wykorzysta tej okazji. Odwagi dodał jej uśmiech mężczyzny, tak podobny do uśmiechu Lucy, że nawet gdyby ta nie zwróciła się do niego „tato”, Sandra i tak wiedziałaby, że jest jej ojcem.

Weszła i zatrzymała się zaraz za progiem. Nie mogła uwierzyć własnym oczom. Wszystko się tu zmieniło. W lutym, w jednym z najzimniejszych stanów, zamiast w staroświeckiej, nieco mrocznej i tchnącej tajemnicą kwiaciarni, znalazła się w tropiku.

Jednak nie zmiana wystroju i klimatu zaskoczyła ją najbardziej. We wszystkich kwiaciarniach, które dotychczas widziała, orchidei - w porównaniu z innymi roślinami - było niewiele. Również w Dos Gardenias.

Tu dominowały.

Poza wystawą orchidei w Seattle nigdy jeszcze nie widziała tylu pięknych okazów, tylu gatunków zgromadzonych w jednym miejscu.

- Tato, ona znała poprzednią właścicielkę - poinformowała ojca Lucy.

- Ach, tak? - Mężczyzna uśmiechnął się do Sandry. - Ja nie miałem okazji jej poznać, ale wiele o niej słyszałem i domyślałem się, że była wyjątkową osobą.

- To prawda. Pani DeVries była wspaniała.

Nie mogło umknąć jego uwagi, jak Sandra rozgląda się po kwiaciarni.

- Pewnie jesteś rozczarowana tym wystrojem? - powiedział. - Nie jest tak stylowy jak kiedyś, prawda? Też tak uważam, ale...

- Nie, skąd! - zaprzeczyła gwałtownie. - Nie o to chodzi. Wystrój jest piękny.

Były to szczerze słowa, bo choć lubiła dawną atmosferę Dos Gardenias, nie mogła zaprzeczyć, że teraz, choć w zupełnie innym stylu, kwiaciarnia jest urządzona niezwykle gustownie.

-I nie jestem rozczarowana - dodała. - Tylko zaskoczona, zdumiona. W żadnej kwiaciarni nie widziałam jeszcze tylu orchidei.

Mężczyzna uśmiechnął się i skinął głową.

- Tak, to nasze ulubione kwiaty. I mamy fantastycznego dostawcę.

- Tato - odezwała się jego córka. - Ona... - Zerknęła na Sandrę. - Przepraszam cię, ale nie zapytałam, jak masz na imię.

- Sandra.

- Sandra też uprawia orchidee - dokończyła Lucy.

- Naprawdę?

Sandra skromnie skinęła głową. Wśród tych pięknych kwiatów, z których część znała tylko ze zdjęć, nie miała się specjalnie czym chwalić.

-A niektórzy mówią, że teraz młodzi ludzie nie mają żadnych zainteresowań - powiedział mężczyzna. Jak się domyśliła, był tym panem Bridgesem, o którym wspomniała pani Hoover. - A tu proszę, takie piękne hobby.

- Dla Sandry to chyba nie tylko hobby - sprostowała Lucy. - Zaopatrywała naszą kwiaciarnię w orchidee... To znaczy, nie naszą. Bo wtedy miała inną właścicielkę.

Pan Bridges spojrział na Sandrę z zainteresowaniem.

- Chętnie zobaczyłbym twoje orchidee - powiedział. - Może wpadniesz kiedyś i pokażesz nam jakieś okazy, z których jesteś najbardziej dumna?

W zeszłym tygodniu zakwitła jej przepięknie *Psychosis papilio*, z dwiema warstwami połączonych ze sobą płatków, żółtych w środku, ceglastoczerwonych i jakby karbowanych na zewnątrz, z trzema długimi, wąskimi płatkami, sterzącymi w górę niczym sztylety. Kwiat był naprawdę piękny, i pewnie mogłaby się nim pochwalić, gdyby nie fakt, że kilka metrów od niej, na niewielkim podestacie, stały trzy doniczki z równie pięknymi okazami.

- Może kiedyś wpadnę - odparła, choć wiedziała, że tego nie zrobi. - A na razie nie będę przeszkadzać. Macie państwo chyba jeszcze mnóstwo pracy z przygotowaniem do otwarcia.

- Rzeczywiście, jest trochę zamieszania - przyznał mężczyzna.

Lucy odprowadziła ją do wyjścia i stojąc w otwartych drzwiach, pomachała Sandrze, kiedy ta wsiadała do samochodu.

Jadąc do domu, Sandra żałowała, że weszła dzisiaj do kwiaciarni. Gdyby tego nie zrobiła, mogłaby przynajmniej jeszcze przez dwa dni mieć nadzieję, że nowy właściciel będzie zainteresowany kupowaniem od niej orchidei. A tak nic nie mogło już zatrzeć wrażenia, że jest to najgorszy poniedziałek w jej życiu.



Dzień, w którym Sandra zatrzymała się przed Orchideą i przyjaciółka przekonywała ją, że nie może zrezygnować z balu maturalnego, dzieliły prawie trzy miesiące od tamtego koszmarnego poniedziałku.

Wciąż czuła ukłucia, kiedy przypominała sobie Christophera albo gdy spotykała go w szkole, ale nie był to już ból tak dotkliwy, jak w czasie pierwszych tygodni. Zwłaszcza że im więcej mijało czasu, tym większego nabierała przekonania, że wcale nie był takim chłopakiem, jakim ona go widziała.

Zanim zaczęła się z nim spotykać, stworzyła w wyobraźni ideał swojego chłopaka, a potem za wszelką cenę starała się go dostrzec w Christopherze, zamykając oczy na wszystkie te cechy, które nie pasowały do idealnego wzorca. A miał ich wiele - brak tolerancji wobec ludzi, egoizm. No i, jak się okazało na koniec, był kłamcą i tchórzem.

Teraz już nie żałowała, że się nie spotykają, wciąż jednak nie mogła się pogodzić z faktem, że skończyło się to w ten sposób. I nie potrafiła sobie wyobrazić, że kiedyś będzie jeszcze w stanie zaufać jakiemuś chłopakowi.

No i nie miała się z kim wybrać na bal.

Roseanne, przekonując ją, że wcale nie musi mieć partnera, wymieniła kilka dziewcząt, które zamierzały iść same. I to nie wszystkie dlatego, że nie znalazł się nikt, kto by je zaprosił. Marsha Sheppard, na przykład, odmówiła aż trzem chłopakom, twierdząc, że najlepiej będzie się bawić, jeśli pójdzie na bal sama.

Sandra rozumiała to i pewnie poszłaby w jej ślady, gdyby nie perspektywa ujrzenia na balu Christophera z przyklejoną do jego ramienia Jackie Donovan. Zdecydowanie łatwiej byłoby jej znieść ten widok, gdyby miała u swego boku jakiegoś chłopaka.

Podzieliła się tym z przyjaciółką, która odwiedziła ją w sobotę. Były w cieplarni; Sandra podlewała orchidee, a Roseanne tylko jej towarzyszyła.

- Rozumiem cię - przyznała się Roseanne. - Ja chyba myślałabym tak samo. Tylko że ja nie chciałabym wtedy mieć przy sobie JAKIEGOŚ chłopaka, ale PRZYSTOJNEGO chłopaka. Superchłopaka, na którego widok Christopherowi opadłaby szczęka.

Sandra roześmiała się.

-Zobacz, jakie my, dziewczyny, jesteśmy głupie - powiedziała. - Przecież w ogóle nie zależy mi już na Christopherze, a mimo to obchodzi mnie, co on sobie pomyśli.

- To chyba normalne. Zranił cię, więc chcesz mu jakoś dokopać. A to jest najlepsza metoda, pokazać mu się z chłopakiem, przy którym poczuje się jak Quasimodo, i być

szczęśliwą. Albo przynajmniej udawać, że się jest szczęśliwą.

- Może coś w tym jest - przyznała Sandra. - Tylko skąd wziąć takiego chłopaka? Nie przyniosłabyś mi tamtej konewki?

Roseanne poszła we wskazanym przez nią kierunku i wzięła z dużego niskiego stołu roboczego pierwszą z brzegu konewkę.

- Nie tę! - zawołała Sandra. - Tę fioletową.

- A jaka to różnica? - powiedziała jej przyjaciółka.

- Konewka to konewka - bąknęła pod nosem, ale posłusznie odłożyła granatową i wzięła fioletową.

-Wielka różnica. W tej jest zakwaszona woda, a *Coryanthes macrocorys* potrzebują zakwaszonej wody - wyjaśniła Sandra i zaczęła podlewać orchidee rosnące w wiszących skrzynkach.

Najwyraźniej musiały być zawieszane, ponieważ ich kwiaty o cynamonowej barwie, z białym, czerwono nakrapianym dzwoneczkiem w środku, zwisały kilkanaście centymetrów poniżej podstawy skrzynki.

- To są właśnie te *Cory*...

- *Coryanthes macrocorys*.

- Podziwiam cię, że pamiętasz te wszystkie nazwy. Ja nie jestem w stanie zapamiętać żadnej... Chociaż nie, jedną pamiętam. Piękny Wampir! - zawołała Roseanne, bardzo z siebie dumna.

Sandra roześmiała się.

- *Dracula bella*. - To była ta orchidea, którą kilka dni wcześniej widziały na wystawie kwiaciarni przy Trzynastej. - Spodobała ci się ta nazwa. Ale tego gatunku akurat nie mam.

- Masz za to inne, o wiele ładniejsze niż w tamtej kwiaciarni. A właśnie! Przecież ten jej nowy właściciel prosił cię, żebyś pokazała mu jakieś swoje orchidee. Byłaś tura jeszcze raz?

Sandra pokręciła głową. Podlała kwiaty w ostatniej z wiszących skrzynek i odstawiła fioletową konewkę na stół. Chwilę się zastanawiała, po czym wzięła czerwoną, w której była woda z dodatkiem perhydroflu, wzbogacającego ją w tlen, i poszła podlewać orchidee o niewielkich, niezwykle delikatnych, białych kwiatkach.

- To znaczy, byłam tam dwa czy trzy razy - powiedziała po chwili. - Ale tylko po to, żeby obejrzeć ich orchidee.

- Nie rozumiem, dlaczego nie pokazałaś im swoich i nie zapytałaś, czy nie chcieliby ich od ciebie kupować.

- Bo w tej kwiaciarni są prawie wszystkie gatunki, które uprawiam, i jeszcze dużo więcej, więc co ich może zainteresować? - odparła Sandra. - Zresztą potem już nie zastałam tam ani właściciela, ani jego córki, tylko jakąś niezbyt sympatyczną kobietę, chyba ekspedientkę, która wyraźnie nie była zadowolona, że tylko oglądam, a nic nie kupuję.

- Spróbuj z innymi kwiaciarniami - poradziła jej przyjaciółka. - W Eugene jest ich przecież kilka, może nawet kilkanaście.

- Myślisz, że tego nie zrobiłam? Kiedyś, zanim zaczęłam dostarczać orchidee Julii, odwiedziłam wszystkie. Żaden właściciel nie był wtedy zainteresowany. Podejrzewam, że nikt mnie wtedy nie traktował poważnie.

- Ale teraz, gdybyś powiedziała, że przez dwa lata zaopatrywałaś Dos Gardenias...

- Właśnie tak sobie pomyślałam i obesłam jeszcze raz wszystkie kwiaciarnie w mieście.

-I co?

- I nic. Rzeczywiście, potraktowali mnie poważniej. Ci, którzy znali Julię, nawet coś o mnie słyszeli. Tyle że od czasu, gdy Dos Gardenias zmieniła nazwę i właściciela, w ogóle przestali handlować orchideami. - Sandra odłożyła czerwoną konewkę na stół i zdjęła rękawice. - Teraz, jeśli ktoś w Eugene chce kupić orchidee, jedzie na Trzynastą Ulicę.

Rozejrzała się po cieplarni. Przetawiła kilka doniczek z roślinami, w których pojawiły się pąki, z ciemnego w bardziej nasłonecznione miejsce. Odcieła trzy przywiedle łodygi *Oncidium letragonum* i umieściła donicę w najmroczniejszym kącie cieplarni.

- To już chyba wszystko - powiedziała, jeszcze raz rzucając czujnym okiem na swoje królestwo. - Wracamy do domu. Ach, zapomniałam ci powiedzieć, że mama upiekła szarlotkę.

Kilkanaście minut później siedziały już w pokoju Sandry, każda z talerzykiem z wielkim kawałkiem ciasta i kubkiem herbaty jabłkowo-kardamonowej. Po śmierci Julii Sandra dowiedziała się od pani Hoover, gdzie jej sąsiadka zaopatrywała się w swoją ulubioną herbatę, i od razu kupiła trzy duże puszki.

- To jak ty sobie teraz poradzisz, jeśli nie będziesz sprzedawała orchidei? - spytała zmartwiona Roseanne.

- Mam jeszcze oszczędności. Obliczyłam, że przez pół roku powinno mi wystarczyć na prąd, nawozy, środki owadobójcze i tak dalej. Potem, jeśli nie wymyślę nic innego, sprzedam samochód - powiedziała, choć myśl o rozstaniu z garbusem była dla niej bolesna.

- To znaczy, że nie jest tak źle! - zawołała Roseanne.

- A ja myślałam, że jesteś kompletnie splukana. Sądziłam, że wszystko, co miałaś,

wydałaś na samochód. Więc tym bardziej nie rozumiem, dlaczego nie kupiłaś sobie tej kiecki.

- Teraz nie jestem, ale nie wiem, co będzie za pół roku - odparła Sandra.

- Coś wymyślisz, jestem tego pewna - przekonywała ją przyjaciółka. - Na twoim miejscu nie martwiłabym się tym, co będzie za pół roku, tylko tym, w czym pójdziesz na bal, jeśli ktoś kupi tę sukienkę.

- Roseanne, przecież rozmawialiśmy już o tym. Nie mam z kim iść.

- Coś się wymyśli.

- Coś się wymyśli! - prychnęła Sandra. -O, już mam!

-Co?

- Wiem, z kim pójdziesz. -Z kim?

- Z Tobym Langdonem.

Sandra знаła się z Tobym od małego. Byli sąsiadami, ich rodzice się przyjaźnili i choć był od niej dwa lata starszy, nigdy nie dał jej odczuć, jak niektórzy jego koledzy, że jest smarkulą.

Zawsze mogła na niego liczyć.

No i nieźle się prezentował. Nie była pewna, czy Christopher poczułby się przy nim jak Quasimodo, ale nie ulegało wątpliwości, że Toby - ze swoimi ciemnymi włosami, intensywnie niebieskimi oczami i wysportowaną sylwetką - był bardzo przystojnym chłopakiem.

Tyle tylko, że Sandra nie miałaby chyba odwagi zwrócić się do niego z prośbą, żeby poszedł z nią na bal maturalny.

- Ale Toby ma dziewczynę - przypomniała przyjaciółce.

- I co z tego? Przecież ją znasz. I z tego, co wiem, przyjaźnicie się.

Sandra rzeczywiście dobrze znała Shannone. I bardzo ją lubiła.

- Opowiesz jej, w czym rzecz, i jeśli ta Shannona jest taka fajna, jak nieraz mówiłaś, na pewno wypożyczy ci swojego chłopaka na jeden wieczór. W końcu my, dziewczyny, powinnyśmy sobie pomagać.

- Wypożyczy! - parsknęła Sandra, trochę zdeglustowana tym określeniem.

- Nie rozumiem, czemu się tak oburzasz. To przecież dobre słowo. Nie jesteś przecież Jackie Donovan... Chcesz tylko pożyczyć od Shannony chłopaka, a nie zabierać go jej.

Sandra zamyśliła się. Roseanne natychmiast pożałowała, że wspomniała o Jackie.

- Przepraszam cię, nie powinnam była...

-Nie, nic się nie stało. Tylko wiesz... Nie mogę powiedzieć, że lubię Jackie, bo to by była nieprawda. Nigdy za nią nie przepadałam, ale nie mam do niej pretensji o Christophera i

wcale nie uważam, że mi go odebrała.

- Dobrze, nie mówmy już o nim - ucięła Roseanne. - Lepiej wróćmy do balu. To jak? Pogadasz z Tobym?

- Nie wiem, chyba się nie odważę.

- No coś ty! Przecież znacie się od dziecka. To prawie tak, jakbyś poprosiła brata albo kuzyna.

To, co mówiła Roseanne, miało sens. Jeśli w ogóle istniał jakiś chłopak, do którego Sandra mogłaby się zwrócić z prośbą, by towarzyszył jej na balu maturalnym, a on nie pomyślałby sobie przy tym Bóg wie czego, to był nim Toby.

- Dobrze, zapytam go - zgodziła się w końcu.

- Obiecujesz?

- Że zapytam? Obiecuję, tylko że nie mogę ci obiecać, że on się zgodzi.

- Zgodzi się, zgodzi - powiedziała Roseanne z przekonaniem w głosie. - Ale zrób to jak najszybciej, a zaraz potem kup tę kieckę. Albo wiesz co? Kup ją od razu. - Popatrzyła na zegarek - Mamy jeszcze dwie godziny do zamknięcia sklepów.

Nie wiadomo, czy to optymizm Roseanne udzielił się Sandrze, czy tak bardzo wierzyła, że Toby, który nigdy dotąd jej nie zawiódł, nie zrobi tego również tym razem, w każdym razie dała się namówić przyjaciółce, żeby jeszcze tego dnia pojechać i kupić sukienkę na bal.

Co więcej, w drodze do miasta przeżywała katusze, wyobrażając sobie, że ktoś już ją kupił. Ale zobaczyła ją w tym samym miejscu, w którym wisiała, gdy były tu ostatnim razem.

- Po co chcesz ją mierzyć? - spytała Roseanne, widząc, że przyjaciółka zdejmuje sukienkę z wieszaka i idzie do przymierzalni. - Przecież pasowała idealnie. Myślisz, że się coś zmieniło w ciągu trzech albo czterech dni? Nie widzę, żebyś jakoś drastycznie utyła albo schudła.

- Wolę ją jednak jeszcze raz przymierzyć.

Już w kabinie wiedziała, że ją kupi, ale wyszła na zewnątrz i okręcając się kilka razy, obejrzała się w wielkim lustrze.

-I jak? - Zerknęła pytająco na przyjaciółkę.

- Rewelacyjnie! - zawołała Roseanne. - Nie wiem, nad czym się zastanawiasz.

- Już się nie zastanawiam. Chociaż nie wiem, czy to wycięcie z tyłu nie jest zbyt wyzywające jak na szkolny bal.

Suknia była bardzo prosta w kroju. Tym, co przyciągało w niej uwagę, był przepiękny przytłumiony odcień różu i dekolot na plecach.

- Jest odważne, to prawda, ale nie wyzywające, tylko wyrafinowane - powiedziała Roseanne.

To samo wcześniej pomyślała Sandra, potrzebowała jednak potwierdzenia przyjaciółki. Zniknęła w kabinie, po dwóch minutach wyszła i od razu skierowała się do kasy.

Ekspedientka, która wzięła od niej sukienkę, przyjrzała się Sandrze i jej koleżance.

-To na bal maturalny, prawda? - zapytała z uśmiechem.

- Jak się pani tego domyśliła? - zdziwiła się Sandra.

- Teraz wszystkie dziewczyny w waszym wieku polują na kreacje na bale maturalne.

- No tak, nie pomyślałam o tym.

- Świetny wybór - powiedziała kobieta. - To piękna sukienka.

- Dziękuję.

- *Papillionanthe teres* - powiedziała Sandra, kiedy ekspedientka składała suknię.

- Słucham?! - zapytała Roseanne.

- To orchidea, będzie idealnie pasowała.

- No tak! Całkiem o tym zapomniałam. Musimy mieć przecież bukietki przypięte do kiecek.

Ekspedientka najpierw starannie zapakowała suknię w cienki papier, a potem włożyła ją do wielkiej torby.

- Życzę wspaniałego balu - powiedziała, wręczając ją Sandrze.

- Dziękuję.

- Wiesz, tak sobie myślę - zaczęła Roseanne, kiedy wychodziły ze sklepu. - Teoretycznie kupowanie partnerce bukietków jest obowiązkiem chłopaka.

- Taka jest tradycja - zgodziła się z nią Sandra.

- Głupia tradycja - zawyrokowała jej przyjaciółka.

- Nie, dlaczego? Uważam, że to miłe. - Zakup sukni sprawił Sandrze tak niespodziewaną radość, że była nastawiona do świata bardzo pozytywnie.

- Nie słyszałaś historii o dziewczynach, które do różowych kiecek dostawały czerwone kwiaty?

- No tak, zawsze się coś takiego może zdarzyć. Ale co w związku z tym? - spytała Sandra.

- Mam pewien pomysł. -Jaki?

- Powiem ci za kilka dni - odpowiedziała Roseanne tajemniczo. - Muszę najpierw wy badać co i jak.

Choć Sandra obiecała przyjaciółce, że jeszcze w ten weekend porozmawia z Tobym, nie zrobiła tego. I to nie z powodu braku odwagi, lecz dlatego, że nie było go w domu. Wyjechał z Shannoną do jej rodziny w Portland i miał wrócić dopiero w poniedziałek wieczorem.

Wracając we wtorek ze szkoły, zobaczyła, że Toby przycina żywopłot wokół domu. Postanowiła wykorzystać okazję.

- Cześć, Toby! - zawołała, wysiadając z samochodu.

- Cześć! - Odłożył wielki sekator i podszedł do niskiego azurowego muru oddzielającego ich podwórze. - Mama mówiła, że o mnie pytałaś.

- Tak, mam do ciebie sprawę.

- Wal śmiało.

- Ale to jest właśnie taka rzecz, z którą nie potrafię śmiało walić. Szkoda, że nie ma Shannony.

- Masz tę sprawę do niej czy do mnie?

- Właściwie do ciebie, ale chyba czułabym się zreczniej, gdyby ona przy tym była.

- Tylko że ona będzie w Eugene dopiero w przyszłym tygodniu. Została w Portland, żeby pomóc w przygotowaniach do ślubu siostry. Możesz tyle poczekać?

- Tak - palnęła Sandra, ale po chwili sprostowała: - Chociaż właściwie wolałabym mieć to z głowy już teraz.

- No to mów.

- Głupio mi cię o to prosić... Ale nie mam z kim iść na bal maturalny... i... i...

-I chcesz, żebym z tobą poszedł?

- No - powiedziała nieśmiało. - Wiem, że pomyślisz sobie, że jestem głupia, ale Christopher przyjdzie pewnie z Jackie, z tą dziewczyną, z którą... no wiesz... - Toby był jedną z nielicznych osób, którym Sandra przed trzema miesiącami zwierzała się, jak się czuje zraniona i upokorzona.

- Wciąż ci na nim zależy?

- Nie, słowo honoru, że nie, więc pewnie tym bardziej wyda ci się głupie to, że chcę mu coś pokazać. Bo właśnie dokładnie o to chodzi. Równie dobrze mogłabym iść na bal sama, wiele dziewcząt tak robi... Ale ja...

-Nie musisz mi nic więcej tłumaczyć. Ja to rozumiem.

- Tylko tak mówisz.



- Nie, naprawdę rozumiem, uwierz mi. Wiesz, że ja przed bale maturalnym byłem w bardzo podobnej sytuacji? Jakies dwa miesiace wcześniej rzucila mnie Megan... Pamiętasz ją?

- Ta wysoka blondynka, tak? I co?

-I teź stawałem na głowie, żeby znaleźć jakąś laskę, która poszłaby ze mną na bal.

- Udało ci się?

-Nie.

- I co? Nie poszedłeś? Z tego, co pamiętam, to byłeś z Shannona.

- Poznałem ją trzy dni przed bale, jak już przestałem szukać i zamierzałem zrezygnować z pójścia na bal.

- W końcu jednak poszliście.

- Tak, tylko że wtedy było mi już wszystko jedno, czy Megan widzi nas razem, czy nie.

- No tak, zakochałeś się w Shannonie. I wcale ci się nie dziwię. To fantastyczna dziewczyna.

Sandra przypomniała sobie swoje obawy, że nie zaufa już żadnemu chłopakowi. Teraz pomyślała z nadzieją, że może nie będzie aż tak źle. Shannona z pewnością mogła ufać Toby'emu, więc może i ona gdzieś, kiedyś spotka kogoś, kogo obdarzy zaufaniem i się nie zawiedzie.

- Ale ja chyba nie mam co liczyć, że mnie przytrafi się to samo co tobie i poznam jakiegoś chłopaka trzy dni przed bale maturalnym.

- Nie musisz. Pójdę z tobą.

- Naprawdę?

- Jasne. Jestem twoim kumplem czy nie?

- Pewnie, że jesteś.

- A od czego ma się kumpli?

- Od tego, żeby pomagali sobie w potrzebie?

- Właśnie!

- Toby, jesteś kochany. - Przechyliła się nad murkiem i pocałowała go w policzek. - Tylko co na to powie Shannona?

- Na co? Na to, że idę z tobą na bal? Czy na to, że mnie całujesz? Tym drugim pewnie nie byłaby zachwycona - zażartował. - Ale na bal się zgodzi. Ona cię bardzo lubi. Była wściekła na tego Christophera, kiedy się dowiedziała, jak się zachował. A właśnie! Teraz sobie przypominam, że ona też ma do ciebie jakąś sprawę. Coś związanego z kwiatami na ślub jej siostry. I tak będzie chciała się z tobą spotkać po powrocie do Eugene.

- Fajnie. I dzięki, Toby. Dobrze mieć takiego kumpla jak ty.

- Ale wiesz co? Tego takiego czegoś do kieceki to ci nie będę kupował.

- Masz na myśli bukiecik?

- Właśnie.

- Byłoby dziwne, gdybyś mi kupował kwiaty, skoro mam ich pełno w cieplarni.

- To dobrze, bo ja już żadnych bukiecików do kiecek kupować nie będę.

Minę miał taką, że Sandra postanowiła podrażnić ten temat.

- Ale właściwie dlaczego nie? - spytała.

- Już raz kupiłem Shannonie - odparł i pokręcił głową.

- I co, nie podobały jej się? Jakie to były kwiaty?

- Róże. Powinienem był zwrócić się z tym do ciebie. Ale to było krótko po śmierci twojego dziadka. Nie chciałem ci zawracać głowy, więc kupiłem jej bukiecik z małych czerwonych różyczek.

- A jaką miała sukienkę?

- Ładną, bardzo ładną.

- Pytam o kolor.

- Aha. Ciemnoróżową. Sandra roześmiała się.

- Co ci tak wesoło? Shannona też się śmiała, kiedy przyjechałem, żeby zabrać ją na bal, i wręczyłem jej bukiecik.

- Wiesz, powinieneś ją nosić na rękach - poradziła mu. - Drugiej takiej nie znajdziesz. Inna zaczęłaby stroić fochy, gdybyś dał jej do ciemnoróżowej sukienki czerwone różyczki. A ją to tylko rozbawiło.

- Ach, wy dziewczyny... - powiedział, ciężko wzdychając.

- Ale nie martw się, mnie nie będziesz musiał kupować żadnych bukiecików.

- I Bogu dzięki!

Jeszcze raz podziękowała Toby'emu, pożegnała się z nim i ruszyła w stronę domu. Była już prawie przy drzwiach, kiedy ją zawołał. Wróciła do murku.

- Tak? - spytała.

- Chciałem ci tylko powiedzieć, że się nie obrażę, jeśli trzy dni przed balem poznasz jakiegoś faceta i pójdiesz z nim, a nie ze mną.

- Na twoim miejscu raczej bym na to nie liczyła. Mała szansa.

- Nigdy nic nie wiadomo - rzucił. - Życie przynosi różne niespodzianki.

Wiedziała o tym, tyle że niespodzianki, które spotykały ją ostatnio, nie były przyjemne. Ale może kiedyś zły los się odmieni, pomyślała z nadzieją.

Następny tydzień rzeczywiście przyniósł jej kilka niespodzianek. W poniedziałek wróciła z Portland Shannona i jeszcze tego samego dnia ona i Toby odwiedzili Sandrę.

Shannona wiedziała już, że Sandra poprosiła jej chłopaka, żeby poszedł z nią na bal, i nie miała nic przeciwko temu.

- Naprawdę nie masz mi tego za złe? - upewniała się Sandra.

- No coś ty! Przecież od tego są przyjaciele, żeby sobie nawzajem pomagać - odparła Shannona. - Ale przyszedłam do ciebie z czymś zupełnie innym. Wiesz, że moja siostra wychodzi za mąż?

- Tak, słyszałam. Nie wiem tylko kiedy.

- Za dwa tygodnie. A jeszcze nie mają zamówionych kwiatów. I kiedy się o tym dowiedziałam, od razu pomyślałam o tobie.

- To miło, ale nie wiem, czy twoja siostra chciałaby mieć na ślubie orchidee.

- Bardzo by pasowały do wystroju tego lokalu, w którym odbędzie się przyjęcie weselne.

- Jest tylko jeden szkopuł. Ja nie potrafię układać kompozycji z kwiatów.

- To nie jest problem - powiedziała Shannona. - Susan, jej najlepsza przyjaciółka, jest specjalistką od kompozycji kwiatowych i chętnie się tym zajmie.

Jeszcze tego dnia poszły razem do cieplarni, żeby się zastanowić nad doбором kwiatów. Shannonie, która była tu po raz pierwszy, podobały się niemal wszystkie, ale Sandra doradziła jej, żeby nie podejmowała decyzji zbyt pochopnie. Przekonywała ją, że niektóre orchidee, wyglądające bardzo efektownie w donicach, po ścięciu stają się niepozorne, inne prezentują się zbyt okazale w kompozycjach kwiatowych, a jeszcze inne wymagają odpowiedniego oświetlenia.

Zasugerowała, żeby porozumiała się z przyjaciółką siostry, a Shannona wpadła na pomysł, by ściągnąć tu Susan. Wtedy będzie mogła osobiście wybrać odpowiednie kwiaty. Od razu zatelefonowała do siostry, a ta po kwadransie oddzwoniła i powiedziała, że Susan przyjedzie w sobotę do Eugene.

- Wygląda na to, że zrobisz interes - powiedział Toby, który dotychczas nie wtrącał się w ich rozmowę. - Musicie się jeszcze tylko dogadać co do ceny.

- Bez obaw, dogadamy się - uspokoiła go Shannona. Sandra zaproponowała, że policzy za kwiaty tyle, ile płaciła jej pani DeVries. Choć Shannona bez mrugnięcia okiem zgodziła się i wyglądała na bardzo zadowoloną, Sandra zatrzymała się, kiedy wychodziły z

cieplarni.

- Wiesz, dam ci jeszcze dziesięcioprocentowy rabat.

- Świetnie - ucieszyła się Shannona.

- A to z jakiej okazji? - wtrącił się Toby. - Już wiem. Rabat jest za to, że moja dziewczyna wypożycza ci mnie na bal maturalny, prawda?

- Przestań. - Shannona uśmiechnęła się i poczochnęła go po włosach.

- Będziesz musiała się ze mną podzielić tymi dziesięcioma procentami. Pięć procent dla mnie.

- Kto by dał pięć procent za to, żeby pozwolić ci się podeptać w tańcu na balu maturalnym? - zażartowała Shannona. Popatrzyła na Sandrę. - Muszę cię, niestety, uprzedzić...

-To nieprawda! - zaprotestował Toby. - Jestem świetnym tancerzem i nie depczę partnerkom po nogach. - Puścił oko do swojej dziewczyny. - No, chyba że trafi mi się taka, co nie umie tańczyć.

Przekomarzali się jeszcze długo, a Sandra patrzyła na nich z całkowicie pozbawioną zawiści zazdrością.

Ten tydzień okazał się wspaniały w interesach. W środę zadzwoniła pani Hoover, która podczas ostatniej wizyty Sandry obiecała, że zwróci się do niej, gdyby potrzebowała orchidei. Jej przyjaciółka urządziła jakieś ważne przyjęcie i kiedy wspomniała o kwiatkach, pani Hoover natychmiast pomyślała o Sandrze.

Dziewczyna zaproponowała, żeby ją odwiedziły i obejrzały kwiaty na miejscu, a pani Hoover chętnie się zgodziła. Umówiły się więc na czwartkowe popołudnie.

Nazajutrz pani Hoover i jej przyjaciółka, zachwycone tym, co zobaczyły w cieplarni, odjeżdżały z wielkim pękiem ściętych orchidei na tylnym siedzeniu. Oprócz tego każda z nich wiozła doniczkę *Lycastea rotatica*, które Sandra dała im w prezencie. Niedawno nauczyła się je rozmnażać, miała ich więc tyle, że mogła nimi obdarowywać, kogo chciała.

Dziewczyna patrzyła na znikający w oddali samochód. Trzymała w ręce czek na dwieście dolarów i myślała o tym, co obiecały obie panie - że będą ją polecać wszystkim znajomym.

To mogło być rozwiązaniem jej problemu. Może wcale nie potrzebowałyby kwaciarni, żeby sprzedawać orchidee, gdyby udało jej się znaleźć więcej prywatnych odbiorców, przynajmniej tylu, że pozwoliliby jej to utrzymać cieplarnię.

Popatrzyła na zaparkowanego na podjeździe garbusa.

- Może nie będę musiała cię sprzedawać.

W sobotę, kiedy stała w tym samym miejscu przed domem i samochód Susan, przyjaciółki siostry Shannony, zniknął jej z oczu, również popatrzyła na garbusa.

- Chyba naprawdę nie będę musiała cię sprzedawać. Razem z Susan spędziły w cieplarni kilka godzin, zanim wreszcie ustaliły, jakie orchidee zabiorą w przyszły czwartek Shannona i Toby, jadąc do Portland.

Sandra nie dostała jeszcze pieniędzy, ale rodzice Shannony mieli jej w najbliższych dniach przysłać czek na ni mniej, ni więcej, tylko tysiąc czterysta dolarów. To już było coś!

W dodatku Susan, której ceny proponowane przez Sandrę wydały się bardzo korzystne, powiedziała, że chętnie będzie kupowała u niej orchidee. Ustaliły nawet, z jakiej firmy zajmującej się transportem kwiatów będą korzystać.

Kiedy Susan odjechała, Sandra była pewna, że to już koniec interesów w tym tygodniu. Myliła się jednak.

O siódmej wieczorem wpadła do niej Roseanne.

- Idziemy do cieplarni - oświadczyła tonem nieznoszącym sprzeciwu.

- Po co? - zdziwiła się Sandra. - Cały dzień tam spędziłam. Lepiej napijmy się herbaty i zjedzmy placaka z jagodami. Mama dzisiaj upiekła.

Przyjaciółka nie dała się jednak skusić.

-Placek zjemy potem - oświadczyła. - Najpierw musimy coś załatwić. Idziemy do cieplarni.

Sandra ruszyła za nią posłusznie. Kiedy znalazły się w wilgotnym ciepłym wnętrzu, jej przyjaciółka wyjęła z torebki notatnik. Między jego kartkami, w miejscu, gdzie się otworzył, tkwiło kilkadziesiąt skrawków papieru, kartonu albo materiału w różnych kolorach. Na każdym widniało imię i nazwisko. Sandra знаła je wszystkie; to były nazwiska i imiona ich szkolnych koleżanek.

- Co to jest? - spytała zdziwiona.

- Trzydzieści sześć próbek kolorów - odparła bardzo z siebie zadowolona Roseanne.

- To widzę, ale nie rozumiem po co ci one.

- Pamiętaj, jak ci mówiłam, że chłopcy nie powinni kupować swoim partnerkom bukietów na bal maturalny?

- Pamiętam.

- No więc porozmawiałam o tym z dziewczynami i wszystkie się ze mną zgodziły. Po to są te próbki.

- Wciąż nic nie rozumiem.

- Zrobimy interes! - zawołała Roseanne. - Dziewczyny przynosiły mi próbki kolorów swoich kiecek, a ich partnerzy będą kupować ode mnie bukietki.

- A skąd weźmiesz kwiaty?

Zniecierpliwiona Roseanne pokręciła głową i rozejrzała się.

-Jak to skąd?! Mało ich tu masz? Ty dostarczasz kwiaty, ja załatwiam przypinki - już nawet wiem, gdzie je kupić - i klientów. A potem dzielimy się zyskiem.

Roseanne była rozczarowana. Wiedząc, że przyjaciółka potrzebuje pieniędzy, spodziewała się, że zachwyci ją ten pomysł, tymczasem Sandra nie okazywała ani krztu optymizmu.

- Nie możemy wszystkie pojawić się na balu z orchideami przypiętymi do sukni - powiedziała.

- Dlaczego nie. Spójrz tylko, jak one różnią się między sobą.

Sandra nie mogła odmówić jej racji. Miała w cieplarni tyle gatunków, że nawet gdyby musiała z nich zrobić nie trzydzieści sześć, a dwa razy tyle bukietów, to każdy byłby inny.

- No i pamiętam, jak mi mówiłaś, że są bardzo trwałe - przekonywała ją przyjaciółka. - A to dosyć ważne. Podobno w zeszłym roku Kathy Robins dostała od swojego chłopaka bukiet anemonów.

- Wyobrażam sobie, co się stało. To chyba najdelikatniejsze, najbardziej nietrwałe kwiaty, jakie istnieją.

- Właśnie! Zanim dojechała do szkoły, już zwiędły. Sandra zaczęła przeglądać skrawki.

- Te dziewczyny, które mają kiecki szyte na miarę, przyniosły materiał - wyjaśniła Roseanne. - Pozostałym kazałam znaleźć coś identycznego w kolorze. A właśnie!

- Pogrzebała chwilę w torbie i wyjęła z niej pomadkę do ust, z przyklejoną karteczką z napisem „Sophie Miller. Uwaga, nie zgubić, bo zamorduję!!!”.

Sandra przeczytała to i roześmiała się.

- Kupiła tę pomadkę specjalnie na bal. Jest w takim samym kolorze jak sukienka.

Sandra otworzyła pomadkę. Miała ładny koralowy odcień. Nie namyślając się, podeszła do długiego stołu w nasłonecznionej części cieplarni, na którym stało kilkadziesiąt doniczek. Większość znajdujących się tam orchidei znajdowała się w stadium kwitnienia.

Przyłożyła pomadkę do fioletowego kwiatu, miejscami tak ciemnego, że przechodzącego w odcień bakłażana.

- Co ty na to? - spytała przyjaciółkę.

- Fantastycznie! - Roseanne aż pisnęła z zachwytu.

- Świetny kontrast.

Wyjęła z torby długopis i zapisała w notatniku: „Sophie Miller...”.

- Jak się nazywa ta orchidea? - spytała.

- *Vanda coerulescens*.

Roseanne napisała „Vanda”, po czym podeszła do Sandry i wetknęła jej do ręki długopis oraz notatnik.

- Lepiej zrób to sama - powiedziała.

Podczas gdy jej przyjaciółka zapisywała nazwę, Roseanne podniosła ze stosiku skrawków jasnoniebieski kawałek kartonika, prawdopodobnie wycięty z jakiegoś opakowania, i zaczęła chodzić z nim po cieplarni i przykładać do różnych kwiatów.

- Niebieski nie jest najprostszy do łączenia z innymi kolorami - stwierdziła.

Sandra wzięła od niej kartonik i przeczytała napis na odwrocie:

- "April Graves. Białe dodatki". No to sprawa jest prosta - powiedziała. - Bukiecik też powinien być raczej biały.

- O ja głupia! - zawołała Roseanne, stukając się w czoło. - Zupełnie zapomniałam, że kazałam powpisywać dziewczynom kolory dodatków, jeśli nie są takie same jak kiecki.

Rozejrzała się i podeszła do miejsca, gdzie wisiały skrzynki z orchideami o białych, niezwykle delikatnych kwiatach.

- Wszystkie są ładne - powiedziała. - Nie wiem, na które bym się zdecydowała.

- Na żadne - rzuciła Sandra, podchodząc do przyjaciółki.

- Dlaczego? - spytała Roseanne zawiedzionym głosem. - Są śliczne. Takie subtelne...

- Ale bardzo nietrwale. Może nie tak jak anemony, ale do końca balu raczej by nie dożyły.

- Szkoda. Są takie niewinne.

Sandra wzięła z jej ręki kartonik i wróciła do długiego stołu, na którym stała większość kwitnących orchidei.

- Tak... to będzie chyba najlepsze. - Przeszła na drugi koniec stołu i przyłożyła kartonik do efektownego dużego kwiatu, którego trzy zewnętrzne dorodne płatki były idealnie białe, a wewnętrzne - mniejsze i tworzące fantazyjną czarę - wyglądały jak przyprószone bladożółtym pudrem.

- I jak? - zapytała przyjaciółkę, przykładając do kwiatu kartonik.

- Wspaniale! - zachwyciła się Roseanne. Zapisała w zeszycie „April Graves”, po czym przekazała go przyjaciółce.

Podczas gdy Sandra notowała nazwę orchidei, podniecona Roseanne chwyciła następny skrawek, tym razem jasnoliliowego materiału, i zaczęła się rozglądać.

- Słuchaj, a co na to chłopcy? - zapytała Sandra. - Może oni nie będą chcieli kupować od nas bukietów.

- Oczywiście, że będą.

- Skąd wiesz?

- Bo już prawie ze wszystkimi rozmawiałam. Trochę ich postraszyłam, opowiadając tę historię o czerwonych kwiatach do różowej sukienki. - Roseanne uśmiechnęła się, tak jakby chciała coś zataić, w końcu jednak przyznała się: - Nieco ubarwiłam tę opowieść, dodając, że dziewczyna zostawiła tego chłopaka. Zresztą wcale bym się nie dziwiła, gdyby rzeczywiście tak było. Na pewno go zostawiła.

- Niekoniecznie - powiedziała Sandra, po czym opowiedziała jej historię Toby'ego i



Shannony.

- No, może go i nie zostawiła - zgodziła się w końcu Roseanne. - Ale na chłopaków to podziało i są bardzo zadowoleni, że zdejmemy z nich ciężar wybierania kwiatów. Podniosła jasnoliliowy skrawek z przypiętą karteczką.

- Brittany Scott. Co byś zaproponowała do tego? Nie ma nic o dodatkach, więc pewnie znalazła buty i torebkę w takim samym kolorze.

Sandra popatrzyła na skrawek materiału, po czym zamknęła oczy i chwilę się zastanawiała. Brittany była nieco bezbarwną blondynką o szarych oczach i szarawych, niemal zlewających się z twarzą włosach. Na jej miejscu Sandra nie wybrałaby sukienki w takim kolorze, ale nie była tu po to, żeby krytykować koleżankę.

- Trzeba jej dodać trochę koloru - zdecydowała.

- Też tak myślę - zgodziła się z nią Roseanne.

W tym samym momencie popatrzyły na oryginalny kwiat z długimi, wąskimi, fantazyjnie postrzępionymi płatkami o intensywnej koralowej barwie. Wewnętrzne płatki były bardziej zróżnicowane kolorystycznie i przechodziły od bieli, przez jasno- i ciemnliliowy, do niemal wściekłego fioletu.

Obie zgodnie skinęły głowami, kiedy Roseanne przyłożyła materiał do kwiatu.

O dziesiątej wieczorem w jej notatniku było zapisane dopiero dwadzieścia nazwisk, ale wybieranie orchidei sprawiało im taką przyjemność, że żadna nie miała ochoty przerwać tego zajęcia.

- Może będziesz dzisiaj spała u mnie? - zaproponowała Sandra.

Na tyle często zdarzało im się nocować jedna u drugiej, że każda na wszelki wypadek zostawiła u przyjaciółki szczoteczkę do zębów.

- Musiałabym zadzwonić do mamy - powiedziała Roseanne. Po jej minie było widać, że pomysł bardzo jej się spodobał.

- No to na co czekasz? - spytała Sandra, wyjmując z kieszeni komórkę i wręczając ją przyjaciółce.

Mama Roseanne nie miała nic przeciw temu, żeby córka nocowała u koleżanki. A nawet była zadowolona, że nie będzie tak późno wracała sama do domu.

Nie chcąc tracić czasu na kolację, dziewczęta przyniosły do cieplarni banany, chipsy, herbatniki i napoje, po czym natychmiast z zapalem wróciły do pracy.

Największe kłopoty sprawiało im wybieranie kwiatów w sytuacji, gdy zarówno sukienka, jak i dodatki były białe albo czarne. Miały wtedy tyle możliwości, że trudno im się było zdecydować. Starły się unikać tradycyjnych połączeń. Tylko dla Sarah Jenkins, o której

wiedziały, że lubi czerwień, a na balu miała wystąpić w czerni, wybrały ogniście czerwoną orchideę.

Było dobrze po północy, kiedy ze sterty próbek kolorów pozostała już tylko jedna, ciemnoróżowy, niemal wiśniowy kawałek papieru - sądząc po zadrukowanej drugiej stronie, wycięty z jakiegoś czasopisma.

Kilkakrotnie podczas tego wieczoru Sandra miała wrażenie, że przyjaciółka odkłada go na koniec. Zastanawiała się nawet, o co tu może chodzić, uznała jednak, że Roseanne pewnie nie podoba się kolor, i przestała przywiązywać do tego uwagę. Ale teraz, kiedy Sandra podniosła próbkę i zobaczyła jej minę, zrozumiała, że kryje się za tym coś więcej.

Na papierze nie było ani imienia, ani nazwiska.

- Czyje to jest? - spytała.

Przyjaciółka przez dłuższy czas nie odpowiadała.

- Czyje? - powtórzyła Sandra.

- Wiesz, właściwie możemy o tym zapomnieć - powiedziała Roseanne, zabrała jej paperek i pośpiesznie schowała do kieszeni. - To by było wszystko na dziś. Możemy już pójść do domu i położyć się spać. - Podeszła do stołu, sięgnęła do torebki z czipsami i zaczęła je nerwowo pakować do ust.

- Nie wyjdziemy stąd, dopóki mi nie powiesz, która dziewczyna idzie na bal w ciemnoróżowej sukience - oświadczyła Sandra. - Nawet gdyby przyszło mi tu siedzieć do rana.

Jej ton był tak zdecydowany, że Roseanne nie miała wątpliwości, że może dotrzymać tej obietnicy. Pośpiesznie połknęła kilka kolejnych garści czipsów.

- To Jackie Donovan, prawda? - domyśliła się Sandra.

Roseanne skinęła głową. W jej oczach malowało się poczucie winy.

- Spotkałaś się z nią? - spytała Sandra z nutą żalu w głosie.

Jej przyjaciółka oburzyła się tym posądzeniem.

- No coś ty! Nigdy bym tego nie zrobiła!

- W takim razie rozmawiałaś z Christopherem - zarzuciła jej ostro Sandra.

- Tego nie zrobiłabym tym bardziej! - zawołała Roseanne. - Od czasu... No, wiesz od kiedy, nie zamieniłam z nim ani słowa. Nie odpowiadam nawet na jego „Cześć”.

Sandra nie posunęła się tak daleko w lekceważeniu swojego byłego chłopaka i jeśli nie mogła uniknąć spotkania z nim, niechętnie i chłodno, ale jednak odpowiadała na jego powitania. Nie oczekiwała od przyjaciółki aż takiej lojalności, więc tym bardziej poczuła się głupio, że przed chwilą zwróciła się do niej tak szorstko.

- Przepraszam - powiedziała.

- To ja cię przepraszam. Nie powinnam ci w ogóle pokazywać tej próbki.

- Ale jak ją dostałaś? - zaciekała się Sandra.

- Lindsay Taylor mieszka koło Jackie. Nie powiem, żeby się przyjaźniły, ale utrzymują ze sobą kontakty.

-Już rozumiem.

- Przepraszam cię, Sandro. Nie powinnam była tego robić. Tylko wyprowadziłam cię z równowagi i sprawiłam ci przykrość. Ale wiesz, przypomniałam sobie tamtą historię z czerwonymi kwiatami do różowej sukienki i kiedy zobaczyłam tę próbkę, właśnie różową...

- Ciemnoróżową - sprostowała Sandra, która już wiedziała, do czego zmierza przyjaciółka. - Jasny róż, jak sama widziałas, może świetnie wyglądać z czerwienią.

Pół godziny temu wybrały zjadliwie czerwoną orchideę do różowej sukienki Marshy Sheppard. Było to odważne, niebanalne połączenie, ale też Marsha nie należała do banalnych dziewcząt. W dodatku szła na bal sama, nie było więc ryzyka, że oberwie się za to jakiemuś biednemu chłopakowi.

Na twarzy Sandry, prawdopodobnie po raz pierwszy w życiu, zagościł makiawelistyczny uśmiech.

Roseanne popatrzyła na nią i uśmiechnęła się szeroko.

Wkrótce obie się przekonały, o ile łatwiej jest dobrać odpowiedni do kreacji kwiat niż zupełnie do niej niepasujący.

Podjęcie decyzji, który będzie najgorzej wyglądać przy sukni Jackie Donovan, zajęło im mnóstwo czasu. Podeszły do tego bardzo profesjonalnie. Przeniosły wszystkie kwitnące na czerwono orchidee na stół, po czym Sandra zgasiła kilka lamp, żeby uzyskać mniej więcej takie światło, jakiego spodziewała się na balu.

Kawałek papieru dostarczony przez Lindsay Taylor nie był, niestety, zbyt duży, ale dziewczęta musiały się nim zadowolić. Przysuwały go po kilka razy do wszystkich kwiatów i odkładały na drugi stół te, które prezentowały się przy nim zbyt dobrze. Bo na przykład ceglastoczerwona *Sophranitis coccinea* bardzo ciekawie kontrastowała z ciemnym różem.

Wreszcie na stole zostały już tylko dwie donice. Kwiaty miały identyczne kolory, karminowoczerwone - ani nie kontrastujące z ciemnym różem, ani też nie należące do tej samej tonacji.

Roseanne przyłożyła papiera do jednego i drugiego.

-Fatalne, prawda?

- Obrzydliwe - oceniła Sandra.

- Więc która?

'- Możesz ty zdecydować. Według mnie, obie będą wyglądały na ciemnym różu równie okropnie.

- Ale ta - Roseanne wskazała jedną z orchidei - jest efektowniejsza, ma bardziej fantastyczny kształt.

- Masz rację - zgodziła się z nią Sandra.

- Więc bierzemy tę drugą! - zdecydowała jej przyjaciółka.

W ostatni weekend przed balem miała się odbyć wystawa kwiatów w Salem, na której cały jeden pawilon był przeznaczony na prezentację orchidei. Sandra jeszcze w zeszłym roku, za namową Julii, zgłosiła w niej swój udział i zapłaciła niemałą sumę za możliwość pokazania swoich najładniejszych okazów.

Przypomniała sobie o tym dopiero na początku maja, kiedy znalazła w skrzynce grubą kopertę z informacjami na temat wystawy, między innymi z planem, na którym było zaznaczone wykupione przez nią stoisko.

Wahała się, czy wziąć udział w wystawie, ale po pierwsze, szkoda jej było pieniędzy, które zostałyby wyrzucone w błoto, gdyby zrezygnowała, a po drugie, wystawcy mogli sprzedawać swoje kwiaty. Licząc więc na to, że coś zarobi, postanowiła wybrać się do Salem, zwłaszcza kiedy Roseanne powiedziała, że chętnie' z nią pojedzie. Zaproponowała również, żeby się zatrzymały u jej cioci, co rozwiązywało problem noclegu.

Stoisko Sandry było na tyle duże, że aby je zapełnić, potrzebowała mnóstwa kwiatów, które z pewnością nie zmieściłyby się do garbusa.

Zapytała ojca, czy nie zamieniliby się na weekend samochodami, ale on w sobotę wybierał się na ryby i wyraźnie nie spodobał mu się pomysł zamiany. Domyśliła się, że nie chodzi o to, że w garbusie jest za mało miejsca na wędkę, a raczej o to, co powiedzą jego koledzy, widząc go wysiadającego z „autka dla krasnali”, jak nazywał samochód córki.

Wiedziała, że zgodziłby się, jeśliby naciskała, nie chciała jednak tego robić, zdając sobie sprawę, jak jego męska duma może ucierpieć przez docinki kolegów.

Na szczęście, krótko po rozmowie z nim wpadli do niej Toby i Shannona, którzy właśnie wrócili z Portland i chcieli opowiedzieć o ślubie siostry. Przynieśli ze sobą trochę zdjęć, przede wszystkim takich, na których było widać kompozycje kwiatowe. Susan spisała się fantastycznie. Wyczarowała z jej orchidei i innych kwiatów istne cuda.

Kiedy już zdali relację ze ślubu i przyjęcia weselnego, Sandra opowiedziała im o swoim problemie z samochodem.

- Toby... - Shannona popatrzyła błagalnie na swojego chłopaka.

- Co takiego?

- Wiesz, jak mi się podoba samochód Sandry. -Wszystkim dziewczynom podobają się garbusy - powiedział Toby. - Macie pewnie fioła na punkcie tej dekadenckiej Europy.

- Toby... - powtórzyła Shannona cichutkim słodkim głosem.

- Co? Też byś chciała garbusa?

- Tylko na ten weekend. Zamień się z Sandrą. Zakryty pikap nadawał się idealnie do przewożenia kwiatów, ale Sandra uważała, że Toby, idąc z nią na bal, robi już dla niej wystarczająco dużo, i nie śmiała prosić go o więcej.

Wcale nie musiała, załatwiła to za nią Shannona. Tak więc w sobotę o szóstej rano, wraz z Roseanne, która spała u niej tej nocy, wyruszyły do Salem.

Wystawa okazała się nie taka jak ta w Seattle, na której była z dziadkiem przed kilku laty. Zwłaszcza pawilon z orchideami nie prezentował się tak imponująco.

- Masz najładniejszą ekspozycję - powiedziała z dumą Roseanne, kiedy porozkładały kwiaty.

Sandra nie zwiedziła wprawdzie jeszcze całego pawilonu, ale te stoiska, które widziała, rzeczywiście prezentowały się o wiele skromniej.

Przez pierwsze kilka godzin nie było wielu zwiedzających, dopiero po południu zaczął się intensywniejszy ruch. Większość ludzi przychodziła, żeby oglądać kwiaty, tylko nieliczni kupowali, ale Sandra chętnie rozmawiała z każdym, kto zatrzymywał się przy jej orchideach, odpowiadała na pytania, udzielała rad, no i, oczywiście, z radością przyjmowała komplementy.

Żaden z tych komplementów nie ucieszył jej jednak tak, jak słowa chłopaka, który zatrzymał się przy jej stoisku w niedzielę, niecałą godzinę przed zamknięciem wystawy.

Obie były znużone siedzeniem bez ruchu, Sandra miała już trochę dosyć odpowiadania na te same pytania, czekały więc tylko, aż minie szósta i będą mogły zapakować niesprzedane kwiaty i wrócić do Eugene.

Pawilon powoli pustoszał. Roseanne poszła po coś do picia. I właśnie wtedy pojawił się ten chłopak.

Był może w wieku Sandry, może trochę starszy. Wysoki szatyn, przystojny, ale nie z tych, którzy całe dni spędzają na boisku albo w siłowni. Przez chwilę w milczeniu przyglądał się jej roślinom.

Zauważyła, że najbardziej interesują go nie okazy przyciągające uwagę większości zwiedzających - efektowne, o krzykliwych barwach i fantazyjnych kształtach - lecz te, które stanowiły przedmiot jej największej dumy, ponieważ ich uprawa wymagała najwięcej troski.

Najdłużej wzrok chłopaka zatrzymał się na drobnych kwiatkach z rodzaju *Restrepia*. Ich dwa podłużne płatki były zrośnięte w ten sposób, że tworzyły kształt łódeczki.

- Mógłbym kupić tę *Restrepię dodsoni*? - zapytał. Była zdumiona, nie tyle faktem, że chce kupić tę roślinę, na którą mało kto zwrócił dotąd uwagę, ile tym, że zna jej nazwę. W doniczki z orchideami najczęściej wzbudzającymi zainteresowanie zwiedzających powtykała

małe tabliczki z nazwą i ceną. Przy tej, na której zatrzymał się jego wzrok, nie było takiej informacji.

Zaskoczona i wdzięczna, że docenił kwiat, w uprawę którego włożyła tyle pracy, o mało mu go nie sprzedała. Opamiętała się jednak w porę.

- Przykro mi, ale właśnie tego nie mogę się pozbyć. Dopiero za dwa, trzy miesiące okaże się, czy te, które udało mi się rozmnożyć, zakwitną, więc na razie...

- Szkoda - powiedział, po czym uśmiechnął się i dodał: - Ale rozumiem cię. Na twoim miejscu też bym jej nie sprzedał. - Rozejrzył się po stoisku. - Sama je wszystkie wyhodowałaś?

Wahała się przez chwilę. Wszystkie orchidee, które przywiozła na wystawę, wyrosły już po śmierci dziadka, zatem jej odpowiedź nie była nadużyciem.

-Tak.

- To wspaniale.

- Dzięki.

- Mówisz, że może mogłabyś mi ją sprzedać za trzy miesiące, tak? - Wrócił wzrokiem do *Restrepii dodsoni*.

- Jeśli będę miała szczęście - odparła. Dostrzegła wracającą Roseanne, ale przyjaciółka, widząc, że Sandra rozmawia z nieznanym chłopakiem, zrobiła znaczącą minę, wycofała się i zniknęła między stoiskami.

- Myślisz, że to jest kwestia szczęścia? - zapytał.

- Czasami tak. Robisz wszystko tak jak trzeba, wydaje ci się, że nie popełniłeś żadnego błędu, a potem nagle, nie wiadomo z jakiego powodu, roślina usycha albo nie chce zakwitnąć.

- Pewnie masz rację - przyznał. - Mnie się to też czasem zdarza. - No więc jeśli będziesz miała szczęście i wszystkie twoje *Restrepie dodsoni* pięknie zakwitną? To co?

- To wtedy będę mogła ci je sprzedać.

- Hmm... Za dwa, trzy miesiące, mówisz... Skinęła głową.

- Tylko jak mam się z tobą skontaktować? Mieszkasz w Salem?

- Nie, w Eugene.

- Ooo! - Popatrzył na nią, unosząc brwi. - To się świetnie składa, bo ja studiuje w Eugene.

Sandra poczuła, że serce zaczyna jej bić w przyspieszonym tempie. Ostatni raz czuła się tak ponad rok temu, tego dnia, gdy po raz pierwszy umówiła się z Christopherem na randkę. Przeczynała wtedy, że do tego dojdzie, i nie mogła się doczekać, kiedy to wreszcie



nastąpi.

Podobnie teraz, przeczuwała, że nieznajomy poprosi ją o numer telefonu albo adres e-mailowy, ale przeżywała chwilę niepewności. Bardzo długą chwilę niepewności.

Ledwie się powstrzymała przed westchnieniem ulgi, gdy chłopak zapytał:

- Mogłabyś mi dać jakieś namiary na siebie, żebym mógł się z tobą skontaktować za te dwa, trzy miesiące?

- Jasne. - Wyjęła z kieszeni komórkę, nacisnęła kilka guzików i kiedy na ekraniku pojawił się jej numer, podsunęła ją chłopakowi.

Właśnie kiedy to robiła, w przejściu między stoiskami pokazała się Roseanne. Tym razem, zanim znów zniknęła, dała przyjaciółce jakieś niewyraźne znaki, z których tylko jeden - podniesiony kciuk - wydał się Sandrze w miarę zrozumiały.

Po chwili rozległ się sygnał jej komórki. Zamierzała odebrać, ale chłopak ją powstrzymał.

- To tylko ja - powiedział. - Chciałem się upewnić, że dobrze wstukałem twój numer.

Kamień spadł jej z serca. Kilka minut wcześniej przemknęła jej bowiem przez głowę niepokojąca myśl, że chłopak może go źle zapisać. Teraz, jeśli nie odezwie się za dwa albo trzy miesiące, będzie miała przynajmniej pewność, że po prostu zapomniał o niej i o jej *Restrepii dodsoni*.

W poniedziałek po wystawie Sandra właśnie oddawała Toby'emu kluczyki od jego samochodu, gdy zadzwoniła jej komórka. Pomyślała, że myli ją wzrok, kiedy na ekraniku ukazał się napis: *Restrepia dodsoni*.

Poprzedniego wieczoru, wróciwszy do domu, sprawdziła, czy w pamięci telefonu pozostał numer nieznanego z wystawy kwiatów. Ucieszyła się, kiedy znalazła go jako ostatnie nieodebrane połączenie, i postanowiła umieścić ten numer w spisie telefonów. Długo się głowiła, co wpisać zamiast imienia i nazwiska, w końcu zdecydowała się na nazwę orchidei, którą chciał kupić. Zastanawiała się, co on napisał przy jej numerze.

- Nie odbierasz? - zdziwił się Toby, widząc, że jego przyjaciółka wpatruje się w ekranik, jakby zobaczyła tam ducha.

Szybko nacisnęła przycisk z zieloną słuchawką i przyłożyła komórkę do ucha.

-Halo...

- Cześć. Tu Tom Bridges. Spotkaliśmy się wczoraj na wystawie kwiatów.

- Ach, tak. Cześć.

- Wiem, że miałem się do ciebie odezwać dopiero za dwa, trzy miesiące, ale wpadłem na inny pomysł.

-lak?

- Może kupiłbym od ciebie jedną z tych *Restrepii*, które jeszcze nie rozkwitły.

- Nigdy dotąd nie sprzedawałam orchidei bez kwiatów.

Co robisz, idiotko?! - pomyślała. Umów się z nim i sprzedaj mu ją!

- Ale jeśli ci tak bardzo zależy, to mogę zrobić wyjątek - dodała szybko.

- Fantastycznie. Myślisz, że moglibyśmy się jakoś umówić?

Musiała mieć dziwną minę, ponieważ Toby zaczął się jej uważnie przyglądać, na wszelki wypadek odwróciła się więc do niego plecami.

- Pewnie tak. - Uznała jednak, że to mogło nie zabrzmieć zbyt zachęcająco. - Może byś wpadł do mnie, kiedy będziesz w Eugene, i zobaczył inne moje orchidee.

- Ja jestem w Eugene. Mówiłem ci, że tu studiuję.

- No tak, rzeczywiście.

- Kiedy miałabyś czas? - zapytał.

Sandra zastanawiała się, co odpowiedzieć, ale chłopak zdjął z niej ciężar podejmowania decyzji.

- Może dzisiaj? - zasugerował.

- Czemu nie?

Podala mu adres i umowili sie, ze bedzie u niej w ciagu godziny.

- No i co sie tak na mnie gapisz? - zapytala Toby'ego. Gwizdnal i puscił do niej oko.

- To tylko ktoś, kto chce ode mnie kupić orchidee - powiedziala Sandra.

- Aha. I właśnie dlatego tak się czerwieniłaś. -Jeśli się czerwieniłam, to tylko dlatego, że mi się tak przyglądałeś.

- Rozumiem.

- Naprawdę się czerwieniłam?

- Jak te różyczki, które kupiłem Shannonie do sukienki na mój bal maturalny.

Trzy kwadranse później Sandra rozmawiała z Tobym i Shannoną. Tak jak to często bywało, oni stali po jednej stronie murku, ona po drugiej.

Kiedy usłyszała, że na drodze przed domem przystaje samochód, serce zabiło jej mocniej, ale zmusiła się, żeby się nie odwrócić.

- O rany! - powiedział Toby teatralnym szeptem. - Jeśli to nic nie znaczy, to...

- To co? - Sandra nie wytrzymała i spojrzała przez ramię.

Przed bramą jej domu stał granatowy garbus. Kiedy zobaczyła, że wysiadł z niego jej nowy znajomy, spiorunowała Toby'ego wzrokiem.

- Przestań robić takie głupie miny - syknęła ostrzegawczo, po czym znów się odwróciła i pomachała do Toma.

- Cześć - powiedział, podchodząc do murku.

- Cześć. - Sandra uśmiechnęła się i przedstawiła go Shannonie i Toby'emu.

Po chwili okazało się, że on i Toby znają się z widzenia z kampusu, a nawet w zeszłym semestrze chodzili na te same wykłady.

-Jaki ten świat jest mały - powiedział Tom, kiedy Sandra prowadziła go do cieplarni.

- To Eugene jest małe, a nie świat.

- Lubię małe miasta.

- A ty? - spytała Sandra. - Gdzie się wychowałeś?

- W Seattle.

- Myślałam, że pochodzisz z Salem.

- Nie, byłem tam u przyjaciół. A przy okazji postanowiłem zajrzeć na wystawę kwiatów - wyjaśnił. - I nie żałuję tego.

- Rozumiem. Skoro tak ci zależy na *Restrepia dodsoni*... - Przerwała, bo coś w spojrzeniu chłopaka powiedziało jej, że nie to miał na myśli.

Próbując ukryć speszenie, szybko otworzyła drzwi cieplarni. Przez chwilę miotali się w progu - ona chciała go przepuścić, on nie chciał wejść pierwszy, aż wreszcie oboje weszli jednocześnie, wpadając na siebie.

- Oto moje królestwo - powiedziała Sandra, kiedy znaleźli się w środku.

Tom długo się rozglądał, a potem popatrzył na nią z niekłamanym podziwem.

- Wspaniale. Zajmujesz się wszystkim sama? Skinęła głową.

- Zupełnie sama? Nie masz nikogo do pomocy?

- Kiedyś miałam dziadka. Tylko że to ja pomagałam jemu, nie on mnie. A po jego

śmierci wszystko jest na mojej głowie.

- Naprawdę jestem pełen uznania. - Tom jeszcze raz rozejrzył się po cieplarni. - Utrzymanie tego wszystkiego musi cię dużo kosztować.

- Niestety - przyznała. - Przez jakiś czas dostarczałam orchidee do kwaciarni w centrum miasta. Bardzo przyzwoicie na tym zarabiałam, ale przed kilkoma miesiącami zmarła jej właścicielka, kwaciarnię przejął ktoś inny i się skończyło. Pewnie ją znasz. Jest przy Trzynastej, nazywa się Orchidea i mają tam naprawdę fantastyczne orchidee.

- Tak, znam.

Gdyby stali w nasłonecznionej części cieplarni, a nie w miejscu, gdzie trzymała rośliny, które w okresach między jednym a drugim kwitnieniem potrzebują mroku, być może zauważyłaby, jak Tomowi nerwowo zadrżały usta.

Spędzili w cieplarni ponad dwie godziny. Rozmawiali nie tylko o orchideach; Tom opowiadał jej o studiach, ona o szkole.

- Już siódma - powiedziała, kiedy przypadkiem spojrzała na zegar, który zawiesił jeszcze dziadek.

- Pewnie zabieram ci czas.

- Nie, tylko nie miałam pojęcia, że jesteśmy tu już tak długo.

- Ja też - przyznał się Tom.

- Słuchaj, a może wejdiesz do mnie do domu i napijesz się czegoś? - zaproponowała.

- Jeśli w niczym ci nie przeszkadzam...

- Jasne, że nie.

Chwilę po tym, gdy znaleźli się na zewnątrz, Shannona i Toby wyszli do ogrodu. Sandra odniosła wrażenie, że nie pojawili się tam przypadkowo, zwłaszcza że z kuchennego okna sąsiadów widać było wejście do cieplarni.

- Możemy chwilkę pogadać?! - zawołał Toby.

- Pewnie.

Jak zwykle spotkali się przy murku. Tom pozostał nieco z tyłu.

- Słuchaj, mam straszny problem - powiedział Toby. Sandrę zaniepokoiła bardzo zmartwiona mina jej przyjaciela.

- Musimy z Shannoną w ten weekend być w Portland - ciągnął podniesionym z przejęcia głosem.

Próbowała sobie wyobrazić, co takiego mogło się stać, ale nic rozsądnego nie przychodziło jej do głowy.

Dopiero po chwili uświadomiła sobie, że o cokolwiek chodzi, to problem ma nie tylko

Toby, ale i ona, ponieważ właśnie w tę sobotę miał się odbyć bal maturalny.

- Rozumiem, że nie możesz pójść ze mną na bal.

- No właśnie. Nie mogę iść z tobą na ten bal maturalny. Przepraszam cię bardzo, ale naprawdę nie mogę.

Starła się nie okazać, że jest zawiedziona, ale w głębi duszy była zła na Toby'ego - nie o to, że coś mu wypadło, ale o to, że się tak okropnie wydziera.

W porządku, w ten weekend nagle wypadło mu coś ważnego, ale to jeszcze nie był powód, żeby cała dzielnica wiedziała, że ona nie ma z kim iść na bal maturalny.

Tak naprawdę nie chodziło jej o całą dzielnicę, ale o Toma, stojącego kilka metrów za jej plecami.

Zerknęła na Shannone, ciekawa, co myśli o zachowaniu swojego chłopaka, ale ona najwyraźniej nie dostrzegła w nim nic niewłaściwego.

-Trudno. - Sandra wzruszyła ramionami. - Nie przejmuj się, nic się nie stało. Mam tylko nadzieję, że ty nie masz jakichś poważnych kłopotów.

- Wytłumaczę ci to przy okazji - powiedział Toby już trochę ciszej.

- Masz jakiś problem? - zapytał Tom, kiedy Sandra wróciła do swojego pokoju z dwoma kubkami herbaty i czekoladowymi ciasteczkami domowej roboty, które zawsze czekały w pogotowiu na wypadek niespodziewanych gości.

- Nie, skąd - odparła, po chwili pomyślała jednak, że i tak słyszał wrzaski Toby'ego, nie musiała więc niczego ukrywać. - Tylko że nie mam z kim iść na bal maturalny.

Tom skinął głową.

- Przepraszam, nie podsłuchiwałem, ale...

- Ale musiałbyś być głuchy, żeby nie usłyszeć - dokończyła za niego. Zamyśliła się. - Toby normalnie się tak nie zachowuje, więc trochę się martwię, czy nie ma jakichś poważnych kłopotów.

- Wydawało mi się, że on i ta dziewczyna, która z nim była...

- Shannona - odpowiedziała Sandra.

- Właśnie... Wydawało mi się, że oni są parą.

- Bo są.

Tom spojrzał na nią, jakby nic z tego nie rozumiał.

- Więc dlaczego miał iść z tobą na bal maturalny?

- A jak myślisz?

- Nie wiem, naprawdę.

- Bo nie miałam z kim iść i go o to poprosiłam. Patrzył na nią tak, jakby wciąż nie wiedział, o co chodzi.

Sandra sama nie miała pojęcia, jak to się stało, ale opowiedziała mu o wszystkim - o tym, jak miała chłopaka, o tym, w jaki sposób ją zostawił, i jak razem z Roseanne wymyśliły, że powinna pójść na bal z chłopakiem, przy którym ten nieszczęsny poczuje się jak Quasimodo.

Po raz pierwszy udało jej się mówić o tym tak, że rozśmieszała swojego słuchacza, a chwilami również sama się przy tym bawiła.

- Co to za herbata? - spytał Tom, kiedy wypił pierwszy łyk.

- Jabłkowo-kardamonowa.

- Pyszna.

- Też tak uważam. - Chciała mu opowiedzieć o Julii, ale on odezwał się pierwszy.

- Słuchaj, czy z tym Quasimodo to jest warunek? Popatrzyła na niego pytająco.

- No, czy twój partner na balu maturalnym musi wyglądać tak, że tamten

„nikczemnik” poczuje się przy nim jak Quasimodo?

Sandra roześmiała się.

- To dziwne, ale właśnie uświadomiłam sobie, że absolutnie nie interesuje mnie, co on sobie pomyśli. Jeśli o mnie chodzi, to mógłby przyprowadzić na bal dziesięć Jackie Donovan, uczepionych jego ramienia.

- Bo wiesz - powiedział Tom po chwili - ja na ten weekend nie mam żadnych planów.

Pomyślała, że to szaleństwo iść na bal maturalny z chłopakiem, którego poznała się tydzień wcześniej, ale zaraz przypomniała sobie Toby'ego i Shannonę.

Czy oni też byli szaleni? No, jeśli chciała być wobec siebie uczciwa, to musiała przyznać, że dziś, przynajmniej Toby, sprawiał takie wrażenie.

Ale tylko dzisiaj, poza tym byli fantastyczną parą.

Popatrzyła na Toma z filuternym uśmiechem. Dawno nie uśmiechała się w ten sposób.

- Zapraszasz mnie na bal? - spytała.

- Zaraz! Przecież to jest twój bal maturalny. To chyba ty mnie powinnaś zaprosić.



- Co to za chłopak, ten Tom? - spytała Sandrę mama, kiedy dziewczyna zamknęła drzwi za gościem.

- Nie mówiłam ci? Poznałam go wczoraj w Salem, na wystawie kwiatów.

- Dobrze mu patrzy z oczu - zawyrokowała matka. -Ach, ty, z tą twoją intuicją! - Sandra pokręciła głową, ale tym razem nie zamierzała podważać jej opinii. - Muszę na chwilę wpaść do Toby'ego. Porozmawiamy, jak wrócę! - zawołała i już jej nie było.

Chwilę po tym, stojąc na ganku domu Toby'ego, raz po raz naciskała dzwonek.

- Zaraz! Chwilkę! - zawołał Toby.

Otworzył drzwi i Sandra zobaczyła przed sobą nie jego i Shannone, lecz dwójkę małych dzieci, czekających z rozpalonymi policzkami na to, co w tym roku Mikołaj przyniesie im w prezencie.

-I co?! I co?! - zawołali oboje jednocześnie.

- Toby! - rzuciła Sandra. - Zachowywałeś się dzisiaj jak... jak...

-Jak głupek - dokończyła za nią Shannona.

- Całkowicie się z tobą zgadzam, zachowywał się jak głupek.

- Ale byłem skuteczny, prawda?

- Co?! - Sandra patrzyła to na niego, to na Shannone. Oboje spuścili wzrok.

- To było wszystko zaplanowane! Ten nagły wyjazd do Portland to zwykła bujda, prawda?! - zawołała Sandra.

- Odegrałeś przedstawienie!

- Nie ja to wymyśliłem. - Pokazał palcem na swoją dziewczynę. - To był jej pomysł.

Przyparta do muru Shannona skinęła głową.

- Nie wypaliło? - spytała niepewnie.

- Wypaliło - powiedziała Sandra, nie kryjąc radości.

- Bo byłem rewelacyjny! - zawołał Toby, bijąc się z dumą w piersi.

- Tak, skarbie, masz rację - zgodziła się z nim Shannona. - Ludzkie czyny powinno się oceniać po ich skutkach. - I jeśli przyjmujemy ten punkt widzenia, to byłeś po prostu genialny. Nie do pobicia.

- Co ja bym bez was zrobiła? - Sandra wytarła łzy spływające jej po policzkach.

- Tylko nam tu nie becz - powiedział Toby. - A pamiętasz, jak ci mówiłem, że kto wie, czy kilka dni przed balem nie spotkasz jakiegoś faceta? - Popatrzył na swoją dziewczynę. - Ale my byliśmy lepsi, prawda? My poznaliśmy się trzy dni przed, a oni?

Popatrzył na Sandrę.

- Kiedy go poznałaś?

- Wczoraj.

- No właśnie! Aż sześć dni przed balem! Nam wystarczyły trzy!

W sobotę rano Roseanne przyjechała po kwiaty. Tak się śpieszyła, że ledwie zdążyły zamienić kilka słów. Wychodząc, zatrzymała się jednak w drzwiach i popatrzyła na przyjaciółkę.

- Słuchaj, a co z bukietem dla ciebie?

- Tom ma mi przywieźć.

- Nie boisz się? Sandra pokręciła głową.

- A jeśli ci kupi czerwone kwiaty?

- Czerwone nie byłyby jeszcze takie złe. Wyobraź sobie... na przykład kanarkowożółte.

- Właśnie! Ohyda!

Sandra wzruszyła ramionami. Tom był u niej wczoraj. Pokazała mu suknię, sam jej dół, tak, żeby nie widział kroju, lecz tylko odcień, i była dziwnie spokojna, że nie dostanie ani czerwonego, ani kanarkowożółtego bukietu.

- No, rób, jak uważasz - powiedziała Roseanne bez przekonania. - Ja już muszę lecieć.

Sandra nie musiała się śpieszyć z przygotowaniami;

miała mnóstwo czasu. Puściła swoją ulubioną płytę Nory Jones, nałożyła na twarz ogórkową maseczkę, wzięła długą kąpiel, ale cały czas coś nie dawało jej spokoju.

W końcu uświadomiła sobie co.

Nie pozostało jej już wiele czasu. Za półtorej godziny miał przyjechać po nią Tom.

Wiedziała, że Roseanne będzie zawiedziona, musiała jednak to zrobić.

Sprawdziła spis telefonów w komórce, ale nie było tam numeru Christophera. Przypomniała sobie, że skasowała go w ten nieszczęsny poniedziałek, dzień przed walentynkami. Wyrzuciła na podłogę zawartość trzech szuflad, zanim wreszcie znalazła zeszłoroczny notatnik, w którym miała zapisany domowy numer byłego chłopaka.

Wahała się chwilę, nim go wystukała.

Słuchawkę podniosła matka Christophera. Kiedy podszedł do telefonu, wiedział już, kto dzwoni, i miał tak przerażony głos, że Sandrze zrobiło się go żal. Nie chcąc przedłużać jego udreki, od razu wyjaśniła rzeczowo o co chodzi.

- Słuchaj, Chris, nastąpiła pomyłka. Roseanne wzięła nie ten bukiet, który był przeznaczony dla twojej dziewczyny.

Niemal słyszała jego westchnienie ulgi.

- Ale ten, który dała mi Roseanne, jest bardzo ładny - powiedział.

- Owszem, tylko że zupełnie nie pasuje do sukienki twojej dziewczyny. Był przeznaczony dla kogoś innego. Ten, który miał być dla Jackie, został u mnie.

- To co mam zrobić?

- Nie wiem, albo odbierzesz go ode mnie, jeśli zdążysz, albo przywiozę go do szkoły.

Podjęcie decyzji zajęło mu tyle czasu, że Sandra zaczęła się niecierpliwić.

- Dobrze, przyjadę do ciebie, za jakąś godzinę.

- W porządku - powiedziała i odłożyła słuchawkę. Pobiegła szybko do cieplarni. Nie miała już próbek kolorów, ale dobrze pamiętała odcień sukienki Jackie. Kremowa *Miltonia spectabilis*, którą wybrała, była piękna. Dopiero kiedy umieściła ją w przypince, których Roseanne na szczęście kupiła więcej, niż potrzebowały, i wróciła do domu, poczuła, że wreszcie jest gotowa cieszyć się bale.

Sandrze serce zabiło mocniej, kiedy Tom rozpakowywał bukiet. Zastanawiała się przez chwilę, jak się zachowa, jeśli kwiaty okażą się czerwone, albo - o zgrozo! - kanarkowożółte, nie musiała się o tym na szczęście przekonywać, ponieważ chłopak wyjął tę samą orchideę, o której pomyślała w sklepie, gdy kupowała sukienkę.

- Nie wierzę - szepnęła, kiedy przypinał jej kwiat. - W co?

Wcale się nie zdziwił, gdy mu wyjaśniła, co ją tak zaskoczyło.

- Mamy podobne gusty. - Cofnął się kilka kroków.

- Wyglądasz prześlicznie.

To samo usłyszała przed kwadransem od Christophera, kiedy przyjechał po bukiet dla Jackie, tylko że słowa tamtego zaledwie polechtały jej dziewczęcą próżność. Potraktowała je jak banalny komplement.

W ustach Toma brzmiały zupełnie inaczej i sprawiły jej prawdziwą przyjemność.

W drodze na bal niewiele się odzywała.

- O czym tak rozmyślasz? - zagadnął ją Tom.

- O tym, że życie jest pełne niespodzianek - odparła i uśmiechnęła się.

Kiedy zajechali na szkolny parking, nie od razu zgasił silnik.

- Nie wysiadamy? - zapytała.

- Zaczekaj chwilę - poprosił i ujął jej dłoń. - Skoro już mowa o niespodziankach, to muszę ci się do czegoś przyznać.

Ma dziewczynę - to pierwsze, co przyszło jej do głowy. Z bijącym sercem czekała na jego wyznanie.

- Ta kwaciarnia na Trzynastej, ta, do której kiedyś dostarczałaś kwiaty...

- Orchidea - odpowiedziała mu.

- Właśnie. Ona należy do mojej rodziny. Mamy dosyć dużą uprawę orchidei i ojciec kupił kilka kwaciarni w różnych miastach, żeby sprzedawać w nich kwiaty z naszych cieplarni.

Sandra nie mogła uwierzyć własnym uszom. Bardziej jednak niż treść tego, co usłyszała, zaskoczył ją fakt, że Tom mówił o tym takim tonem, jakby się wstydził.

- Pan Bridges... - powiedziała cicho. - Nie skojarzyłam zbieżności nazwisk.

Odsunęła się nieco na siedzeniu i popatrzyła na chłopaka.

- Ale dlaczego mówisz mi o tym dopiero teraz?

- Nie wiem, może się bałem, że mnie skreślisz, kiedy się o tym dowiesz?

- Skreślisz?! Dlaczego miałabym cię skreślić?

- No bo w końcu przez moją rodzinę straciłaś dochody.

-Wcale do tego tak nie podchodzę.

- Ale fakty pozostają faktami. Słuchaj, Sandro, rozmawiałem wczoraj z ojcem... On sobie ciebie przypomina. Lucy, moja siostra, też. Opowiedziałem mu o twoich orchideach i on uważa, że...

- Tom, musimy teraz o tym rozmawiać? Nie chcę dzisiaj myśleć o interesach. To jest mój bal maturalny - przypomniała mu.

- Wiem, przepraszam.

- Chodź - powiedziała, uśmiechając się do niego. Znow ję zatrzymał.

- Jest jeszcze coś, co chciałem ci powiedzieć.

Teraz już na pewno powie mi, że ma dziewczynę, pomyślała przerażona.

-Ta *Restrepia*, którą chciałem od ciebie kupić... Tak naprawdę to nie zależało mi na niej, tylko na tym, żeby się z tobą spotkać.

- Właśnie! Przyjechałeś po nią, a potem w ogóle o niej zapomniałeś.

-Przyjechałem nie po nią, tylko żeby cię zobaczyć.

Zrobiło jej się ciepło koło serca. Była tak wzruszona, że obawiała się, czy za chwilę po policzkach nie popłyną jej łzy. Żeby to ukryć, zażartowała:

- Jest jeszcze coś, co musisz mi powiedzieć? Pokręcił głową.

- Chociaż nie. Jest jednak coś takiego... - Przerwał i zrobił taką minę, jakby miał się za chwilę przyznać do popełnienia jakiejś strasznej zbrodni. - Nie lubię Seinfelda.

W Stanach Zjednoczonych nieprzepadanie za tym popularnym komikiem może być uważane za zbrodnię, ale Sandra również go nie lubiła.

- Ja też - powiedziała z udawanym poczuciem winy w głosie.

Nie wiedziała, czy ich historia skończy się tak jak historia Toby'ego i Shannony. Skąd miała to wiedzieć? Ale zapragnęła, żeby tak się stało, i kiedy parę minut później, trzymając się za ręce, wchodzili do sali, w której odbywał się bal, czuła, że ma przy sobie chłopaka, któremu może zaufać.